Numer 5. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 1 Lutego 1931



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

— Jasiu czemu płaczesz?

— Dziś w szkole nauczyciel wciąż potrząsał głową!

— Więc, cóż ci to szkodzi?

— Ba, ale on potrząsał moją głową.

Pewien kapucyn został wezwany przed biskupa, pod zarzutem, że wcale nie umie uczyć katechizmu. Biskup, chcąc się przekonać, ile w tym zarzucie jest prawdy, powiada: „Ojcze, niech ja będę uczniem tym, n. p. Jędrusiem, a ty mnie będziesz katechizował“. — Katechizuje kapucyn i to bardzo dobrze. — Biskup na końcu, dla próby, rzecze: „A jeszcze wyjaśnij mi tajemnicę Trójcy św.“. — Zakonnik głaskając wtedy biskupa po głowie mówi: „Jędruś, Jędruś! to nie na twoją głowę!“ — Biskup na to: „Idź ksiądz i ucz dalej. Dobrze, dobrze uczycie!“

Oszczędność.

— Moje drogie dziatki — mówi mamusia — są teraz ciężkie czasy, musimy oszczędzać; każde z nas musi z czegoś zrezygnować. Nie będę wam już teraz kupowała czekoladek, tatuś zrezygnował z codziennego chodzenia na piwo, ja teraz rzadziej będę chodzić do kina. No, a wy dziatki, czego się wyrzekacie?

— Ja rezygnuję z nowej sukienki, którą mi tatuś obiecał kupić — mówi 12-letnia Zosia.

— A ja... ja rezygnuję z chodzenia do szkoły — woła 10-letni Kazio.

Duch.

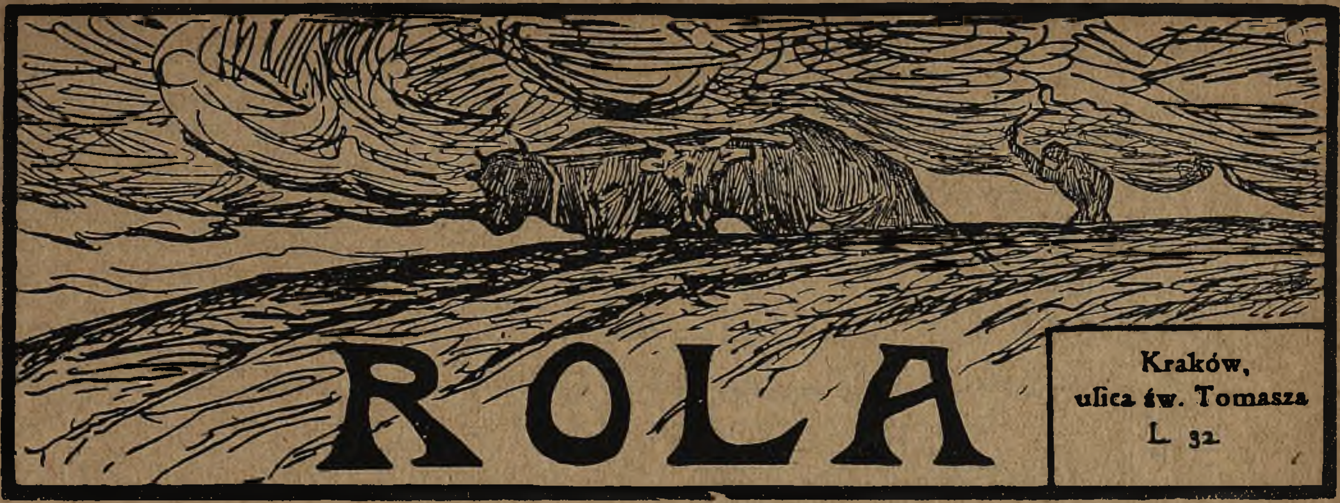
Do proboszcza przybiega parafjanin z wieścią, że w nocy, przy świetle księżyca, widział ducha. — Gdzież to było? — pyta ksiądz. — Na cmentarzu. — A jak wyglądał? — Tak jak wielki osioł. — Proboszcz na to tajemniczym tonem: Idźże człowieku spokojnie do domu i nikomu o tym duchu nie opowiadaj, bo jak widzę, zląkłeś się własnego cienia!

Źdźbło i sumienie.

Pewnemu szlachcicowi skradziono srebro. Nie mógł znaleźć złodzieja. Wreszcie wezwał całą służbę do pokoju i rzekł: „Między wami jest z pewnością złodziej, — i ja go zaraz odkryję“. — Kazał wszystkim stanąć szeregiem, stać prosto, potem ręce w górę podnieść, głową kręcić, nogami przebierać i t. d. Wreszcie rozdał między wszystkich źdźbła słomy jednakowej długości i rzekł: „Teraz uważajcie! w ręku złodzieja urośnie źdźbło za dziesięć minut o połowę większe“. — Po tych słowach odszedł do drugiego pokoju, gdzie stukał, hałasował, krzyczał... Po dziesięciu minutach przybył do nich napowrót i począł od każdego z nich odbierać słomki. Wszystkie źdźbła były jednakowo długie, tylko źdźbło kucharza było o połowę krótsze, bo mu złe sumienie w strachu doradziło odgryść połowę słomki.

Nawet słudzy krzyknęli po tem odkryciu: „On jest złodziejem, on ukradł srebro!“

Numer 5. **Rok XIV.** **Kraków, dnia 1 lutego 1931.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

W święto Matki Bożej Gromnicznej.

Kościół katolicki w dniu 2 lutego obchodzi uroczystość Oczyszczenia Matki Bożej, któremu według prawa Mojżesza musiała się poddać każda niewiasta po urodzeniu dziecka. Jeżeli dziecko było pierworodne, to składała również i ofiarę za wykupno tego dziecięcia i ofiarę przepisaną prawem według stanu majątkowego. Temu więc obowiązkowi oczyszczenia poddała się dobrowolnie przed wiekami i Matka Boża, jakkolwiek mogła prawo pominąć, będąc Matką Boga-Człowieka, zrodzonego cudownie za sprawą Ducha św.

Mimo to udaje się w 40 dniu po narodzeniu Jezusa do świątyni Jerozolimskiej z Dzieciątkiem, a arcykapłan Symeon dopełnia obrzędu oczyszczenia, wręczając płonącą świecę Marji, jako symbol oczyszczenia. Będąc niezamożną, składa Matka Jezusowa parę synogarląt na ofiarę, jako okup za Swego Syna. Z tego wypełniania prawa Mojżeszowego przez Matkę Bożą, dochodzimy do przekonania o tej doskonałej cnocie, pokory jaką się odznaczała N. Marja Panna. Idzie do świątyni nie jako Matka Boga-Człowieka, ale jako zwyczajna niewiasta.

Kościół św., obchodząc tę wzniosłą pamiątkę Oczyszczenia M. Bożej, poświęca w dniu tym świece woskowe zwane przez nas gromnicami a Matce Bożej nadajemy miano M. B. Gromnicznej.

Nazwa gromnic pochodzi stąd, że świece, poświęcone w dzień M. B. Gromnicznej, zapalano w czasie szalejących burz przed obrazem Matki Bożej, która chroniła uciekających się pod Jej opiekę przed strasznemi gromami i zniszczeniem.

Lecz nietylko w czasie szalejących burz zapalano gromnicę. Wszak wiemy dobrze, jakie znaczenie ma gromnica w życiu człowieka. Oto w czasie strasznej akcji zejścia człowieka z tego padołu płaczu i nędzy w życie pozagrobowe, wręczamy mu w dłonie gorejącą gromnicę, która koi poniekąd te przerażające walki na łożu śmierci, kiedy to człowiek walczy z szatanem, który nie szczędzi wysiłków, by omotać skołataną duszę i odciągnąć ją od oglądania Stwórcy na wieczność całą. Ta poświęcona gromnica w ręku chorego jest niejako światłem Bożem, które mu oświecać ma drogę do stóp swego Stwórcy i Sędziego.

Ten promień gorejącej gromnicy przyczyniał się za wpływem Matki Bożej do spokojnej rozłąki z tym światem, jakkolwiek marnym, lecz tak bardzo umiłowanym przez człowieka. Ten promień światła gromnicznego napełniał żegnającego się z tą ziemią i otoczeniem wiarą i ufnością w lepsze jutro... wieczności.

To światło często-gęsto przyczyniało się za wpływem Matki Bożej do tego, że choć czasem umierający był przez całe życie bezbożnikiem i drwił z religji katolickiej, a co gorsze hańbił rzeczy święte, to w tej tragicznej chwili bywał oświecony światłem Bożem — poznawał swoje plugawe życie i żałował za nie żalem doskonałym, otwierającym mu podwoje nieba.

Ileż to klęsk, ileż burz ziemskich i duchowych pokonało światło gromnicy? Ileż szczęścia wzniósł jej promień w nasze serca, chaty, rodziny i narody? Żaden naród nie może się poszczycić taką opieką Matki Bożej, jak naród polski? Ileż to Ona zdziałała cudów, kiedy to w czasie burz narodowych klęczeliśmy przed Jej obrazem z zapaloną w ręku gromnicą.

Nic więc dziwnego, że to święto jest obchodzone uroczyście przez lud, który mając silną wiarę św.. nie da się wieść nowinkarzom i „postępowcom“ XX wieku. Niesie więc pięknie przybrane gromnice nasz lud do świątyń, by tam je poświęcić i polecić się opiece Tej, której symbolem jest poświęcona gromnica.

Płoną świątynie światłem poświęconych gromnic — topią się zwolna, a z niem topią się i serca ludu i wznoszą się myślą ponad ten świat realny ku... Bogu... — i Matce Bożej.

Istnieje zwyczaj wśród ludu, że po powrocie ze świątyń, płomieniem gromnicy wypala się znak Krzyża św. na drzwiach, oknach i belkach podtrzymujących powały, który to znak ma chronić domostwo i jego mieszkańców nietylko od burz ziemskich ale i duchowych.

Ileż to przepięknych legend i opowiadań krąży wśród ludu o gromnicy? Wieleż to przepięknych wierszy i utworów powstało pod wpływem M. B. Gromnicznej. Wszak ta gorejąca gromnica jest symbolem gorejącej miłości jaka winna zapanować między nami dziećmi jednej Ojczyzny.

Oby ten promień tej gromnicy jakoteż opieka Matki Bożej były z nami do końca świata. Oby to światło gromnicy ukazało nam szczęście nie w przemijającem szczęściu materjalnem, lecz w ideale, któryby nas po tej kolczastej i wyboistej drodze żywota, zaprowadził do wieczności, ale wieczności, gdzie radość i wesele będzie zapłatą obfitą za tą żmudną wędrówkę i borykanie się z temi pokusami egoizmu.

Niechaj przy ogniu gromnic stopnieją nasze serca oblepione woskiem niezdrowego realizmu dzisiejszych czasów. Niechaj ten promień nam przypomina, że nie ciało, ale dusza ma wartość nieskończoną i że o nią jedynie dbać należy, by wśród tych ciemności cielesnych zajaśniało dla niej światło Boże, by w tym wirze życia nie straciła swego celu — jakim jest dla całego wszechświata Bóg i wieczność.

Władysław Bienias.

Cecora.

Powieść historyczna.

Przeszedł się parę razy i zatrzymując się znów przed Kurzańskim, odezwał się:

— Jasiu!...

Słucham miłości waszej.

— Co myślisz o tej naszej wyprawie wojennej?

— Uda się.

— O tem nie wątpię, choć otrzymałem dziś list od króla Zygmunta, bym na baczności się miał.

— Przestroga zbyteczna dla takiego znawcy spraw wojennych, jak miłość wasza.

— Nie w tem rzecz.

— A w czem?

— Dwie wojny! Rzeczpospolita ogołocona z żołnierza; ostatnia jej moc, to w onych szeregach, co idą nad Dniestr; za jej całość odpowiedzialny dziś ja tylko jestem. Nie daj Bóg nieszczęścia, potęga otomańska zaleje Polskę całą.

— Animusz niezwykły jest w wojsku miłości waszej — odpowiedział Kurzański. Do boju jak do poloneza staną!

— A potem pójdzie nieskończony — rzekł hetman, czyniąc aluzję do tak zwanej figury tańca, a na myśli mając pierwszy wielki zatarg z Islamem, który się nie skończy inaczej, jak zwaleniem się jednej z dwu sił bojujących.

Do obozu hetmańskiego dobiegły wesołe, rozgłośne, choć dalekie okrzyki. Hetman stanął i przysłuchiwał się chwilę.

— To ucztuje Korecki — odezwał się Jan Kurzański.

— Przyczyna nieszczęść!... — rzekł Żółkiewski.

Krokiem miarowym znów się przechadzać zaczął, wreszcie zbliżył się do starego przyjaciela i stając tuż przed nim, odezwał się:

— Daj łyk!

Kurzański wręczył garncówkę, hetman wypił tchem jednym i zaczął swój zwyczajny spacer po namiocie.

Po chwili znów się zatrzymał:

— Jasiu!

— Do usług waszej miłości.

— Masz cebulę przy sobie?...

Kurzański wyjął z zanadrza srebrny, duży, pękaty godzinnik, który klekotał głośno i jął się przypatrywać uważnie.

— Która?

— Ósma dochodzi.

Wczesny czas jeszcze. Chce mi się do Jagodyniec pojechać i Jaszczołdów odwiedzić.

— Za Białym-Kamieniem leżą tu — droga niedaleka — odpowiedział Kurzański.

— Pojedziesz waszmość ze mną?

— Jakby to miłość wasza nie wiedziała, że do Halszki mam się!...

Żółkiewski zaśmiał się.

— Ostrożnie, waszeć! ostrożnie! — rzekł. — Bo, jak mi się widzi, imćpan opiekun jej, Symforjan Jasinowski, niezbyt rad na kawalerów spogląda.

— Upewnij, wasza miłość, Symforcia, że ja już gębą tylko grzeszę — odpowiedział domownik Żółkiewskich.

— Wody nie zmącisz?

— Jeno w źródło kryształowe ze smakiem spojrzę, a takiem jest Halszka Jaszczołdówna.

— Każ waść konie podać... Ale, prawda, waópan nie możesz wstać!...

Kurzański sapnął i podniósł się.

— Gdy o dziewkę rzecz idzie, to i nogi nabierają wigoru — rzekł.

— Pojedziem samotrzeć: ja, ty i Plichta. Polubiłem tego hajdamakę... Pozwij go waść!

Kurzański zawadził nogą o sprzęt jakiś, zatoczył się trochę i splunął.

— Nie zwal mi namiotu, Jasiu! — rzekł hetman.

— Prędzej sam się zwalę, gdyby do ostateczności przyszło... — zabełkotał nieco Kurzański.

Podniósł nogę, przestąpił próg i wyszedł.

Nie upłynęło ćwierć godziny, jak dał się słyszeć tentent prowadzonych koni i Plichta z Kurzańskim do namiotu weszli.

— Jakże się uczta u Koreckiego udała? — spytał Żółkiewski, zwracając się do pana Konstantego.

— Przepiłem wszystkich, wasza miłość — nie słabszy mam łeb od pięści.

— Wróg daleko, to o szklanicę stuknąć się nie wzbraniam, lecz gdy przed Turkiem nos w nos staniemy, wtedy zaś! — rzekł hetman — i dodał:

— Mam do waszmość pana suplikację.

— Do usług waszej miłości.

— Chcę odwiedzić niedaleko stąd mieszkającą powinowatą swoją. Rad byłbym, żebyś waszmość mi towarzyszył. Chcesz?...

— Dość rozkazu — odpowiedział Plichta.

— To rzecz prywatna, mości rotmistrzu, więc proszę!... W służbie wojennej potrafię rozkazać.

— I w rzeczy prywatnej usłużyć waszej miłości zaszczytem jest — odpowiedział rotmistrz.

— Polubiłem waćpana, choć tam, na moskiewskiej wyprawie zawarcholiłeś trochę, jak słyszałem i z racji chwilowo zaległego żołdu konfederacji się imałeś. Ledwie cię uproszono.

— Ale uproszono, wasza miłość — rzekł nieco dumnie Plichta.

— Żołnierstwu przykładem stać obowiązek jest starszych, nie samemu w czas wojenny burzyć a wichrzyć. Waszmość, jak i wielu tu z was, w służbie

mojej nie byliście jeszcze. U mnie przykazaniem pierwszem — posłuch!

— A jeżeli brykną? — wtrącił Kurzański .

— Topór i kat! — rzekł hetman krótko.

— Na głowy szlacheckie? — spytał Plichta, jakby zdziwiony.

— Na inne jest szubienica — odpowiedział Żółkiewski.

W Plichcie wzburzyło się coś wewnątrz i zawarczało, ale szepnął sobie w duchu: gdybym hetmanem był, czyniłbym taksamo, jako i ty...

Spojrzał na surową, poważną, wyniosłą postać hetmańską i pomyślał: to mąż — taki słów swoich nie zbłaźni. A jednak w duszy mu coś burczało, w uszach dzwonił głos Koreckiego o wolnościach mówiący.

Hetman zwrócił się do Kurzańskiego:

— Jasiu!

— Co wasza miłość rozkaże?...

— Zacnego towarzysza mamy — możem jechać.

Po chwili dodał:

— A z konia mi nie zlecisz?...

— Rokosz podniosę — zobaczy wasza miłość, że rokosz podniosę, a ty mi łba nie zetniesz, bo żal ci będzie Kurzańsia.

— Nie próbuj, Jasiu, bo sam nad sobą zmiłowaniabym nie miał. Ale, ale — zwrócił się do Plichty. — Wiedz waszmość dokąd jedziemy — do Jaszczołdów, a jeżeli masz głowę zawrotną, to ostań lepiej.

— Dlaczego tak, wasza miłość?...

— Waćpan słyszałem, jak mucha na lep, tak na niewiasty łasy.

— Zostawiłem już serce po drodze — westchnął Plichta.

— A daleko?

— Wedle Lwowa...

— Oby gdzieś na rozstaju nie siedziało i nie przybiegło do waćpana, gdy ujrzysz Halszkę Jaszczołdównę.

— Taka urodna? — podchwycił Plichta.

— Zapytaj Kurzańsia — rzekł hetman z uśmiechem.

— Nie psuj, wasza miłość, spraw moich — odezwał się Kurzański — bo mi na złość rozmiłuje się w dziewce.

Tak rozmawiając wyszli i siedli na konie, gdy nagle, jakby z pod namiotu hetmańskiego, coś się porwało i z ogromną potoczyło szybkością. Zaledwie opamiętać się mogli, jak to coś znikło, jakby się w ziemię zapadło, kurz tylko wskazywał drogę, którę pobiegło, lecz wiatru dech lekki kurz ten zwiał i nic nie przerwało ciszy nocnej.

— Co za bies! — rzekł hetman i znak krzyża na piers położył.

— Niech wasza miłość na chwilę się tu wstrzyma — odezwał się Plichta — ja biesa tego za łeb chwycę.

Spiął konia, pomknął ku tej części obozu, gdzie jego chorągiew stała i wpadł do namiotu.

— Gil! — wrzasnął, stając pośrodku.

Gil chrapał, jak zabity.

Plichta za kark go pochwycił i uniósł ku górze.

— Adme, ratuj! — wyjęknął Tatarczuk.

Na wspomnienie tego imienia Plichta przypomniał sobie przyrzeczenie dane Admie, że tylko wtedy karłowi w gębę da, gdyby mu sadła gorącego za skórę zalał. Opuścił więc Gila na ziemię, który bryznął jak żaba.

— Spałeś, pokrako? — zawołał.

— Sypałem, panie rotemistrzu!

— Jak ci sypnę, to amen w swoim tatarskim języku zapomnisz...

— Czemu pan rotemistrz taki zły?

Plichta za ucho go wziął.

— Co robiłeś koło namiotu hetmańskiego? — zapytał.

— Ja nic nie robiłem.

— Łżesz!...

— Sypałem, panie rotemistrzu!...

— Pamiętaj, kukło krymska, że tu nie takich jak ty wieszają!

— Pamiętam, panie rotemistrzu!

Gapiowatość Gila, niewinność odpowiedzi rozbroiły Plichtę. Odjął rękę od ucha, które miał wielką ochotę potargać i rzekł:

— O pysk swój dbaj, a na przeszpiegi ruszaj, gdy ja ci każę...

Skoczył na konia i wrócił do Żółkiewskiego.

— Um!... ciężeka służeba!... — mruknął Gil za odjeżdżającym.

— Cóż waść ułowiłeś? — spytał hetman Plichtę.

— Nic, wasza miłość, to Tatarczuk mój był pod namiotem.

Żółkiewski pomyślał chwilę.

— Skąd go waść masz?

Plichta się zająknął.

Hetman powstrzymał konia i wpatrzył się w twarz rotmistrza.

— Wybacz, wasza miłość!... to może głupio wygląda, ale dała mi go pewna osoba, bym (gdy nie daj Boże) w ciężkie terminy popadł, swojego tłumacza miał.

— Pewna osoba?... — rzekł hetman.

— Czy nie ta wedle Lwowa? — rzucił Kurzański.

— Zgadłeś waszmość — wesoło odpowiedział Plichta. — Miłuje mnie — odmówić nie mogłem.

— Bacz jednak waszmość, by ten Tatarczuk nie wąchał się ze swoimi przypadkiem.

— O to jestem spokojny, wasza miłość — żywot swój za mnie da!

Ruszyli stępa przez obozowisko, opowiedzieli się strażom i wyjechali na step gładki.

Noc była miesięczna a ciepła, jak w przededniu wiosny. W bujnych trawach zanurzały się kopyta końskie, obfita rosa rozsypywała się w skry brylantowe.

Minęli Biały-Kamień i lekkim pomknęli kłusem. Na tle rozjaśnionego nieba, w oddaleniu pewnem, zarysowały się drzew kupki.

— Jagodyńce! — rzekł hetman.

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Tęsknota“.

Wyrwana z głębin jak wędrowne ptaki
Ciągnęła w dal bezkresną, nad spienione morze
Tam żywioł... Jaki?
Słuchaj! Fala monotonną melodję gra
Słuchaj! Gitara, wśród palm cicho łka.

Spójrz! Słońce wstało uśmiechnięte boże!
Pocóż sen o szczęściu śnić?
Wróć, ach wróć-że do mnie wróć
Bo w duszy otchłań a w oku łza.

Okręt mój mocno stoi na kotwicy
Nie pragnę złudzeń, nie chcę uciech świata,
Ręka kapłana niech mię z Bogiem zbrata.
Jak biegną w niebo dymy z kadzielnicy,

Kielich purpury serca mego Panie
Z tęsknotą zmieszam i spełniam w pokorze,
Lecz nim obejmę okiem życia morze
Niechaj dziś jeszcze wola Twa się stanie.

Włodzimierz G. i Stanisław S.

Młodzi w literaturze.

W literaturze każdego narodu są trzy rodzaje twórców. Pierwszy z nich to firmy uznane, to pisarze, którzy mają już swe imię wyrobione, którzy nie potrzebują się troszczyć o umieszczenie swych prac w wydawnictwach perjodycznych, czy wydanie ich w formacie książkowym. Nie oni poszukują nakładców, ale nakładcy ich.

Drugi rodzaj, to przeważnie młodzi, mniej lub więcej utalentowani, którzy nieraz z olbrzymim tupetem sami siebie reklamują, a reklamują niejednokrotnie w sposób niesmaczny, przynoszący wprost ujmę literaturze. W Krakowie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu, Wilnie, czy innem mieście tworzą się kółka i kółeczka literackie, których właściwym celem jest autoreklama. I tak p. X, który potrafił napisać bardzo lichy wierszyk, chwali p. Y autora jeszcze większej lichoty. Sławę swoją i wielkość rozdmuchują na wszystkie strony i po największej części udaje się im wmówić w część bezkrytycznego społeczeństwa, że są naprawdę utalentowanymi poetami. A jeżeliby nawet to społeczeństwo przechodziło mimo ich wielkości obojętnie, to przynajmniej jakaś tam Julcia, Stasia, lub Basia będzie się szczyciła przed koleżankami znajomością poety X lub Y, i będzie dalej sławę jego roznosiła. Ale po latach kilku z tych sztucznie rozdmuchanych wielkości nie pozostaje w literaturze nikt, lub prawie nikt.

Trzeci rodzaj, to cisi pracownicy na niwie literackiej. Tworzą w ukryciu, przelewają swe myśli na papier z wewnętrznej potrzeby duchowej. I oni pragną, jak zresztą każdy twórca, aby dzieło ich ujrzało światło dzienne. Prace swe przesyłają do jednej lub drugiej redakcji. Ale wielki pan redaktor wielkiego pisma nie przeczyta najczęściej nawet nadesłanego utworu. Patrzy przedewszystkiem na firmę: nieznana — do kosza! I tak nieraz kosze redakcyjne pękają od prawdziwych perełek literatury polskiej, przeważnie tylko dlatego, że się panu redaktorowi nie chciało przeczytać nadesłanego utworu. A autorzy, zniechęceni takiem postępowaniem, albo przestają zupełnie pisać, ze szkodą dla literatury, albo piszą sami dla siebie, chowając swe prace w jakiejś skrytce domowej.

Refleksje te nasunął mi pierwszy numer wydawnictwa Bibljoteki Towarzystwa literatów lechickich w Warszawie p. t.: „Lechicka wiosna". Zamieścili w nim swe utwory członkowie tego Towarzystwa, wierszem i prozą, a mianowicie: Stanisław Piwoni, St. Gątyński, Władysław Kołodziej, Balladyna Śwityczówna, Eugenja Średnicka, Katarzyna Lesiowska (Kachna Ł. Łza), Donat Lesiowski, Bronisław Wieczorkowski, Aleksander Kuśmicki, Józef Rychter, Mieczysław Mławski i Zygmunt Koehler. Jak dla mnie, większość tych nazwisk jest zupełnie nieznana, a tymczasem w zbiorku tym dali oni prawdziwe perełki poezji, co znaczy, że nie są to zwykli wierszorobi, ale poeci z krwi i kości. A że nie dali się poznać szerszemu ogółowi, to zapewne dlatego, iż nie mieli ku temu sposobności. Uczynili jednak dobrze, że myśli swe wydali drukiem w wspólnym zbiorku i że je prawdopodobnie będą nadal wydawać. Po czynach ich poznacie ich, a to zdaje mi się najlepsza i najetyczniejsza reklama.

Nie sposób w krótkim artykule omówić wszystkie utwory, zawarte w wspomnianym zbiorku, ale dla przykładu chcemy bodaj kilka wyjątków z nich na tem miejscu przytoczyć. Oto n. p. Wł. Kołodziej w utworze p. t. „Poeta" powiada:

Tęskni i kocha, cierpi i szaleje,
Walczy, zwycięża i znowu upada,
Sam bez nadziei, niesie nam nadzieję,
Sam swem jestestwem niepodzielnie włada.

Smutną dolę dziewczęcia maluje St. Piwoni w wierszyku p. t. „Dola":

Karusia kona w szkarlatynie,
I słońce gaśnie na olszynie
Hen, ponad krasną rzeką.
Zakwitło trumny czarnej wieko...
Zwiądł bukiet wspomnień po dziewczynie
Zaś domek z kart ku innym płynie,
Ha! wierzcie w trwałość złud!

Pełne siły są utwory Balladyny Śwityczówny i Donata Lesiowskiego. P. Balladyna utwór swój p. t. „Rzeźbiarze" zaczyna takimi potężnymi słowy:

Wiecznie pragnący, uważni, baczni,
Z pasją łamiący fizyczny trud,
Idą wizjami bogaci, znaczni —
Skuci w spiżowy, rzeźbiarski ród.

Pełne mocy są również dwie prace naszego przyjaciela Donata Lesiowskiego p. t. „Szyny" i „Pochód stali". Pierwszy z nich zaczyna od słów:

Biegną, jak tęcza, spętane, skręcone,
W dalekie mkną krainy,
Z mistycznym światem złączone,
Biegną w Nieznane — szyny.

W więcej liryczny ton uderza jego urocza małżonka p. Kachna Ł. Łza Lesiowska, rozpoczynając swój utwór p. t. „Wiosenna msza" następująco:

Hen w słonecznej przestrzeni zadrżała pieśń skowronka;
I dzwoni, dzwoni srebrną melodję dzwonka...
Woń spływa z ziół kadzielnic, rozkwita w biel kalina,
W misterjum tajemniczem msza wiosny się zaczyna.

Nie sposób nam tu z powodu szczupłości miejsca podać wyjątki z utworów wszystkich poetów, którzy umieścili swe prace w omawianym zeszycie. Na zakończenie przytoczymy jednak jeszcze treść pięknego wiersza p. Eugenji Średnickiej p. t. „Nie zginęła". Poetka, zaznaczywszy, że Polska

Narodziła się w słońcu — z natchnienia...
Obwieścili ją w pieśniach — genjusze,
Piastowali ją w mrokach więzienia
I cierpieli tam za nią katusze.

powiada dalej, że

Za ocean szły po nią Legjony,
W krwi się pławiąc serdecznej, z orężem,
Krajów obcych dzwoniły ją dzwony...
Żyła w słowie, co brzmiało: „Zwyciężym!"

I tak ta Polska żyła w echach Wawelu i Gniezna, chowały ją ściany białego dworku i strzecha chłopska Racławic wspomnieniem i jęki męczonych dzieci we Wrześni...

Jeszcze ojce i dziady — pod knutem
Posyłano gdzieś na szlak irkucki,
By zginęli ze sercem zatrutem —
Aż... się zjawił nasz Józef Piłsudski!

Krótki rozkaz przeleciał przez Polskę, garstka szaleńców porwała za broń, zbudzili się śpiący rycerze,

Rozhulała się w kraju pożoga,
Złych demonów stworzyła się klika...
Nie roznosła nas bojaźń i trwoga,
Bo nam wiarą był duch Naczelnika!
Dziś — łza w oku radosna i tkliwa:
Wolni, w wolnym swym własnym już domu!...
Ale... czujność na szabli spoczywa,
My obrony nie zwierzym nikomu!!!!...

Przytoczyliśmy z rozmysłem dłuższe wyjątki z powyższego wiersza, gdyż nadaje on się znakomicie do wygłaszania na porankach patrjotycznych w polskich szkołach. „Lechicką wiosnę" nabyć można u sekretarki Towarzystwa p. Eugenji Średnickiej, Warszawa, ul. Dobra 3 m. 16. *Antoni St. Bassara.*

Wróg drobiu i królików.



Żyje w całej Europie zwierzę bardzo pospolite, którego my jednak dobrze nie znamy, bo grasuje przeważnie w nocy, a w dzień śpi najspokojniej, ukryte gdzieś pomiędzy kamieniami, drzewami lub w jakiejś rozpadlinie. Jest to kuna. Ale w nocy natomiast, gdy się dostanie do kurnika lub króliczarni, urządza nieraz prawdziwe pogromy. Gospodarz nieraz z zadziwieniem spogląda na to straszne pobojowisko, jakie się jego oczom przedstawi, gdy tam kuna pogospodaruje przez jedną noc. Czasami wszystek drób, wszystkie króliki leżą pokotem, z popodgryzanemi gardziołkami, zresztą niemal nietknięte. Jest to bojowy pogrom kuny. Bo kuna mięsa nie jada, ale wypija tylko krew pokonanej ofiary, dlatego też tem większe sieje spustoszenie, gdy tych ofiar znajdzie znaczniejszą liczbę.

Kuna jest pozatem nadzwyczaj ciekawem zwierzęciem z powodu swoich elastycznych ruchów. Potrafi ona czołgać się, skakać, wspinać na drzewa i ściany zabudowań, a posiada przytem znaczną siłę i wytrzymałość. Po ścianach zabudowania dostaje się do gołębników, gdzie sprawia ogromne spustoszenia.

W braku ptactwa, które jej najlepiej smakuje, nie gardzi też królikami, poluje również na myszy i szczury, tępiąc je bez miłosierdzia. Bardzo chętnie wypija jaja kur, kaczek, gęsi i gołębi, a gdyby jej i tego brakło, zjada owoce, a mianowicie wiśnie, czereśnie i śliwki.

Kuna rozmnaża się niezbyt licznie, gdyż samiczka rodzi przeważnie troje, a najwyżej pięcioro młodych w jednym roku. Maleństwa te są 12 do 14 dni ślepe, nie opuszczają więc miejsca swego urodzenia przez ten czas, a i potem czas dłuższy w niem pozostają. Toteż nieraz można spotkać całe obozowisko kun w jakiemś starem zameczysku lub innych jakichś rumowiskach.

Upolować kunę nadzwyczaj trudno, gdyż jest bardzo ostrożna, a wystraszona w dzień ze swego siedliska, potrafi tak szybko gdzieś się zaszyć, że zaledwie ją człowiek zobaczył, już mu znika w jakiejś szczelinie lub między kamieniami. Napędzona czasem nad wodę rzuca się w jej nurty i płynie, jak stary marynarz. Najczęściej staje się ofiarą nastawionych na nią łapek i wtedy ginie już bez ratunku. Futerko kuny, jakkolwiek niewielkie, ale jest bardzo cenne, więc też łowią ją chętnie, o ile się tylko da złowić.

Na obrazku naszym widzimy kunią parę małżeńską. W jasną księżycową noc po chwilach pełnych upojeń wybrała ona się na polowanie. Skrada się cichutko po jakiemś rusztowaniu, przypierającem do rozłożystych drzew. Na jednem z nich siedzi ptak, pogrążony w błogim śnie. Zoczyły go napastujące kuny. Z lubością patrzą na swą ofiarę, której krew odświeży ich spragnione pyszczki. Dla nich radość, dla ptaka tragedja... Ale już tak to w świecie bywa! Czyż i człowiek nie tak samo czyni? Wszak do tych samych ust, któremi wyciskał gorące pocałunki na ustach swej ubóstwianej, za minutę, za dwie przykłada kawał mięsa jakiegoś bydlęcia, zarzezanego przez człowieka, aby się może jeszcze bardziej niem delektować, aniżeli żywem mięsem swej bogdanki. Bo i w człowieku jest dużo ze zwierzęcia!



Muzyka artysty.

Drgają akordy dźwięczne, rzewne —
najczulszych pełne tchnień —
Z pod ręki mistrza płyną —
jak ze słowiczych pień.
Na skrzydłach dźwięków tych my mkniemy,
kędy baśni i legend świat.
Skonał ton — złuda ulata,
smutek nasz wraca, jak złowrogi kat.

H. Latawcówna.



MACIEK BZDURA GADA:

Jagbyście gdzie źuźreli taką dzieuchę, co nie myśli o chłopakach dniem i nocą, to mi ją przyślijcie w liście komenderowanym, a ja ją oglądnę ze wszyćkich stron, cy ona naprawdę jest dzieucha, cy ino dzieuchę udaje. Bo zważcie ino na to, ze nasienie babskie juz od samej maleńkości do najstarsiejsej starości, jako ze ją Poniezus z kości chłopskiej stworzył, ciągnie ciągiem do chłopów, bo przecie wiadomo, ze kuzdy cłek ze wszyćkich miejsc na świecie najbardziej swoje miejsce urodzenia lubi.

Coprawda, to Magda Majcherzonka, co to dopiero dziewięćdziesiątą zwiesnę swojego zywota rozpocęła, powiada, ze dzieuchy nic temu nie winny, bo mają one juz w swojem przyrodzeniu taki naturalny pociąg do wszyćkiego co chłopskie, ze ani nie myślą o tem, co i jak je ku nich ciągnie. I latego są one lepse od wszelakiego rodzaju chłopaków. Bo — powiada — zważcie ino, ze dziewcyna, byle sie jej ino jaki źgac trafił i chciał ją za babę, to sie wiele nie ociąga, ino leci, jak mucha do miodu. Przecie i ja, choć sie mi juz dziewiąty krzyzik kończy, jakby mnie ino kto chciał, tobym sie nie ociągała, inobym leciała w te pędy. A chłopak to sie będzie mizdrzył, kochanie udawał, a o zeniacce prawdziwej nie myśli. On ino patrzy, zeby z dzieuchą pofiglować, zeby ją tam gdzie uscypnąć, a przy tem z garnuska co wylizać, przypitku jakiego chlapnąć i kuniec. A gadać mu o zeniacce, to zaraz zacnie bajtasić, ze ceka na tatusiową lekką śmierć, ze sie mamusi spyta, ze se musi mantryke wyrobić i tyle inksych inksyści powynajduje, ze bidna dzieucha, ochfiarą chłopskiej nieporadności, tymcasem wianusek straci, a ślubu docekać sie ni moze.

Ja zawse padam chłopakom — mówi Magda — mas sie zenić, to sie zeń, a nie kręć gitary, bo sie to na nic nie przyda. Ale juz teraz takie ciężkie casy, ze jedna i druga, choć widzi, ze z wesela będą nici, to sie chłopakowi podlizuje, bo przynajmniej mą ten hunor, ze ma swojego własnego kawalira. Bo przecie wiadomo, ze dzieucha bez kawalira, to jak chałpa bez dachu, jak grunt bez gnoju, na którem choćbyś, bracie, najlepse nasiona siał, to ci sie ani pokrzywy nie urodzą. A chłopak? A cy mu to źle z tem? I córusia mu sie przychlibia i mamusia go obsermuje, to tez on w ocy świętosek, a poza ocami to sie z bidny dziopy wyśmiwa i jesce ją obgaduje. Bez to gdyby dzieuchy były mądre, toby powiedziały: Abo sie zeń, albo odpal! Ale, jak juz pedziałem, dzieuchy teraźniejse to mają juz tak miętkie serca, ze radeby kuzdego do serca przytulić.

Zreśtą, jak dawniej, tak i teraz z zeniacką łatwo nie idzie — prawiła dalej Magda. — Ja wiem sama po sobie, bo przecie juz siedemdziesiąty ósmy rocek staram sie jakiego źgaca upolować i wkońcu juz zacynam wątpić, cy mi sie to uda. Bo chłopaki od wieków więcej patrzą na to, cy Kaścyna jałówka ładna, cy na jej chałpie strzecha nie dziurawa, cy pole tatusiowe nalezycie uprawione, a gdy tak jest, to choćby Kaśka sama miała gębę, jak burak, a była dziurawa, jak rzesuto, i miała w sobie obsyrniości osiemnaście mórg, to ją wolą jak urodną, która prócz swej urodności nima nijakiego majątku.

Wiem ja to sama po sobie i nikt mi tego nie powiadał — prawi dalej Magda — bo przecie ani mi urody nie brak, ani śwarności mi Poniezus nie poskąpił i mam wszyćko, co dzieucha mieć powinna, a, jak dotąd, jednego mi ino brakuje, to jest chłopaka, któryby mnie całą dusą umiłował.

. Tak powiada Magda, ale mnie sie widzi, co to musi wszyćko być nieprawda. Bo naprzykład ja, choć tam nigdzie zadnej akademije nie kończyłem, to przecie wiem, ze niewiasty miłować nalezy i latego je tez wszyćkie okrutecnie miłuję. Ocywiście nie wszyćkie jednakowo; im starsiejsa, to mam mniejsy pociąg ku niej, ale wszyćkie młode, młodse i jesce młodse to tak kocham, jak nikt nigdy na świecie i jaze do grobowej deski. A ze kocham wszyćkie, latego tez nie wiem, która najbardziej z nich ukochana i bez to tylko jesce swojego wianka przed ołtarzem nie straciłem. A chyba nie ja jeden taki jestem. Bo naprzykład taki Bartek od Furgaca! Sam to zreśtą widziałem: wkiejsik kochał za stodołą Zośkę Przyscypconkę, a wcoraj całowali sie z jej mamusią, jak stary Przyscypek posed do lasa kraść chojary. Stara Przyscypkowa powiadała ino w przerwach od całowania: „Grzysy mój stary kradziezą, niech i ja se trochę przygrzysę, a nie będzie nikogo krzywda". Z tego przygrzysenia największą jesce korzyść miał Bartek, bo wyciągnął od Przyscypkowy parę złociaków, które potem przepił z Jagatką Wąchałowną u Srula Kiśkiemeta w karcmie.

I powiedziałby jesce kto, ze chłopaki nie ignąnietylko do młodych dzieusek, ale i do obstarniejsych niewiast?! To sie im ino tak widzi, ale tak nie jest.



Dawna zima.

Strojąc świat w. djamenty
Od brzegów po brzeg,
Na tę naszą ziemię
Upadł srebrny śnieg.
W złotych blaskach słońca
Mieni się i drży,
Jak zaczarowane
Jakieś łzy.
Taka cisza wokół,
Pośród łąk i pól,
Światem mróz wędruje
Sinobrody król.
Na bachmacie białym
Jedzie gdzieś od Tatr,
Za nim dwaj hetmani
Zadymka i Wiatr.
Krwawą ręką widma
Do wieśniaczych wrót,
Puka wiedźma, Nędza,
Za nią syn jej, Głód!
Na bezlistnych drzewach
Gra kapela wron
Echo dzwoni w dali,
Jak żałobny dzwon.
Ale jako szkaplerz
Wśród zimowych trwóg,
Miłość w serca ludzi
Tchnął z błękitu Bóg.
Bujnym liściem strzela
Jej czerwony kwiat
I zwycięży zimę
I rozwiośni świat.

Emil Franciszek Herman.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar IV.



Wojownicy zanzibarscy na czatach.

Nie wszyscy mieszkańcy Zanzibaru mają jednakowy wygląd zewnętrzny. Jedni z nich okrywają już swe ciała jakiem takiem ubraniem, podczas gdy inni chodzą jeszcze zupełnie nago, a wreszcie są i tacy, którzy stroją się w rodzaj jakby damskich koszu- dnich numerów „Roli", część Zanzibaru należy do Anglji, druga część do Francji, ale to nie przeszkadza nic, że jest tam wielu udzielnych książąt murzyńskich, którzy uważają się za nieograniczonych panów swoich państewek, ale którzy oprócz tego słuchają we wszystkiem rozkazów europejskich dzierżycieli. W mniejszych jednak sprawach różne plemiona tamtejsze występują wobec siebie wrogo i prowadzą nieraz długie i zacięte walki, o których niejednokrotnie rządy europejskie nic nie wiedzą. Nim zbrojny zatarg pomiędzy tubylcami dojdzie do wiadomości zwierzchników europejskich, już na polu walki zapanowuje spokój, a walczący rycerze wracają do zwykłych zajęć.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy trzech takich wojowników, którzy śledzą bacznie, czy nie zbliża się nieprzyjaciel, gdyż z sąsiedniem plemieniem przyszło do zatargu o jakiś drobiazg, który może się skończyć zbrojną rozprawą.

W ważniejszych sprawach naczelnik poszczególnego plemienia nie decyduje sam, lecz do rozstrzygnięcia sprawy zwołuje zwykle wodzów poszczególnych osad i odbywa z nimi naradę. Narada ta nie odbywa się w jakiemkolwiek zabudowaniu, gdyż niema tam takiego budynku, w którymby się większa ilość ludzi pomieściła, ale na polu i to przeważnie na jakiemś wzniesieniu tak, aby obradujący mogli we wszystkich kierunkach daleko spoglądać. Taką naradę wodzów widzimy na naszym drugim obrazku. Zeszli się tu wodzowie, uzbrojeni w dzidy i łuki, ale z obecności między nimi Europejczyka można wnioskować, że nie jest to narada wojenna, ale prawdopodobnie odbywa ona się z powodu jakiegoś sporu pomiędzy dwoma rodzinami. Jeżeli na takiej naradzie zapadnie wyrok, wówczas obydwie sprzeczające się strony muszą się mu bezwarunkowo poddać, gdyż w przeciwnym razie miałyby do czynienia z członkami całego plemienia i byłyby wyłączone poza nawias całego społeczeństwa.



Narada naczelników.

lek, co widzimy na naszym pierwszym obrazku. Taksamo zewnętrzny wygląd głowy jest u nich rozmaity; jedni strzygą swe włosy zupełnie krótko, inni pozostawiają gęste, kędzierzawe, czarne czupryny, które są doskonałą wylęgarnią i siedliskiem robactwa.

Jak to już powiedzieliśmy w jednym z poprze-

Wśród murzynów zanzibarskich panuje wielożeństwo, ale żony te nie żyją z mężem swym pod jednym dachem. Zwykle pan i mąż ma skleconą chatę, dostatniejszą lub nędzniejszą, sam dla siebie, a obok niej znajduje się druga chata, przeznaczona dla małżonek. Niema tam wygód ani dostatków. Całe ume-

blowanie ogranicza się po największej części do trochy mchu lub liści, rozrzuconych na ziemi, na której pościeli układają się owe małżonki pokotem, jak barany. Są one niewolnicami swojego pana i muszą spełniać bez najmniejszego sprzeciwu wszelkie jego rozkazy.

Wiadomą jest rzeczą, że ojciec czy matka, mająca kilkoro dzieci, zawsze jedno z nich obdarza jakiemiś specjalnemi względami. Często sama nie wie, dlaczego to czyni, a przecież mimowoli wyróżnia jedno ponad inne. I gdyby wyróżniała najlepsze, czy najmądrzejsze, byłoby to rzeczą poniekąd wytłomaczoną, ale często zdarza się, że wyróżnieniu temu podlega dziecko najgorsze, najkrnąbrniejsze a nieraz i najgłupsze. Matka, czy ojciec, wyróżniają je, sami nie wiedząc dlaczego, boć przecie wszystkie dzieci ich i tylko ich. Nic też dziwnego, że małżonek, mający kilka żon, przenosi jedną z nich ponad inne, darząc ją czulszem obejściem, łagodniejszemi słowy i wogóle więcej stara się o jej względy. Nie zawsze to czyni wobec najpiękniejszej; zdarza się bowiem często, że w łaski pana i męża wkrada się któraś z brzydszych niewiast, a wskutek tego przewagę uzyskuje nad innemi. Po największej jednak części przewagi tej nie wyzyskuje na swą korzyść, gdyż wie, że łaska pańska na pstrym jeździ koniu: ona dziś za kilka dni inna u pana znajdzie wyróżnienie. Toteż żony te żyją ze sobą w przykładnej zgodzie, a każda osobno i wszystkie razem starają się jak najbardziej umilić życie swojemu panu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Mimo swych śmiesznostek, był człowiekiem uczciwym. Wszyscy go też lubili. Kochał Godfreya i Finę, odwzajemniających zresztą jego uczucia. Jedna go też tylko ożywiała ambicja: wyuczenia ich wszystkich subtelności swego kunsztu i o ile to dotyczy form salonowych, uczynienia z nich istot doskonałych.

Jego, profesora Tartelett, wybrał William W. Kolderup za towarzysza zamierzonej podróży swego siostrzeńca. Tak! Nie bez słuszności uważał on Tarteletta za tego, który po części rozbudził w Godfreyu tę chęć podróżowania, dla gruntowniejszego poznania świata i ludzi. William W. Kolderup postanowił zatem, by obaj wyruszyli w podróż. Dnia 16 kwietnia zawiadomił profesora, że pragnie się z nim rozmówić w swym gabinecie.

Życzenie naboba było dla profesora rozkazem. Opuścił tedy swój pokój, uzbrojony w kieszonkowe skrzypeczki, by na wszelki wypadek być gotowym. Szerokiemi schodami wchodził na piętro, stawiając nogi w sposób klasyczny, jak przystało mistrzowi tańców. Zapukał, wszedł lekko przechylony naprzód, ze zgiętemi kolanami i uśmiechniętą twarzą i czekał, wysunąwszy jedną nogę o pół stopy przed drugą, w ten sposób, że kostki się dotykały, a palce skierowane były na bok. Każdy inny, prócz profesora Tarteletta, musiałby tę balansującą pozycję co rychlej zmienić na siedzącą, on jednak potrafił stać prosto i pewnie.

— Panie Tartelett — ozwał się William W. Kolderup, — poprosiłem pana do siebie, by zakomunikować wiadomość, która pana zapewne zdziwi.

— Do usług — odpowiedział profesor.

— Ślub mego siostrzeńca został odroczony na dwa lata, albo na ośmnaście miesięcy — oświadczył wuj — a na skutek swej prośby Godfrey wyrusza w podróż do rozmaitych krajów starego i nowego świata.

— Panie szanowny — odparł Tertelett — mój uczeń Godfrey przyniesie zaszczyt krajowi, którego jest synem.

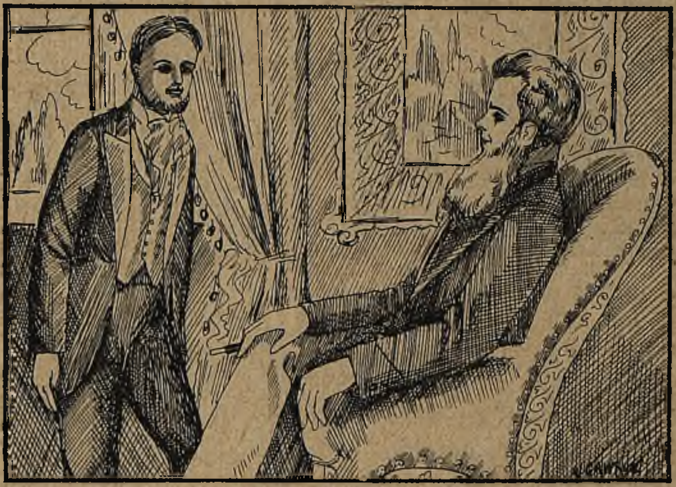
— A także profesorowi dobrego tonu, który go obznajomił z wytwornemi formami towarzyskiemi — odpowiedział przemysłowiec tonem, w którym naiwny Tartelett nie pochwycił akcentu ironji. Rozsunął więc nogi na bok, lekko i elegancko zgiął kolano, składając ukłon Williamowi W. Kolderup.

— Sądziłem, że byłoby panu przykro rozstawać się ze swym wychowankiem.

— Tak, byłoby to dla mnie dość wielką przykrością — odparł Tartelett — jeśli jednak być musi...

— Nie musi być! — odparł William W. Kolderup, marszcząc krzaczaste brwi.

— Ach! — wybiegło z ust Tarteletta.



Tartelett wykonał jeden krok w tył.

Nieco zaniepokojony, wykonał jeden krok w tył, zamieniając trzecią pozycję na czwartą; następnie rozstawił nogi na szerokość stopy, czyniąc to może całkiem bezwiednie.

— Tak — odrzekł bogacz tonem stanowczym, wykluczającym bodaj cień odpowiedzi — sądziłem, że byłoby to okrutnem rozdzielać profesora i ucznia, tak dobrze się wzajem rozumiejących!

— Oczywista... a podróże... — bąkał Tartelett, zdający się nie rozumieć, o co chodzi.

— Oczywista... a podróże... — bąkał Tartelett, zdarup, — podróż taka pozwoli nietylko memu siostrzeńcowi godnie zużytkować swe zdolności, lecz także profesorowi, któremu zawdzięcza swe poprawne manjery.

Temu wielkiemu dziecku nigdy nie przyszło na myśl, że któregoś dnia miałby opuścić San Francisco, Kalifornję i Amerykę, by wyruszyć za Ocean. Myśl taka nigdy nie nawiedziła mózgownicy człowieka, więcej obeznanego ze sztuką tańców, niż podróżowania. Jego znajomość świata nie przekraczała 10 mil poza obrębem stolicy. I teraz oto stawia mu się propozycję... nie! daje mu się wręcz do poznania, że *nolens volens* ma opuścić swą ojczyznę, by się narażać na wszystkie te trudy i przykrości, nieod-

łączne od podróży, do której zachęcał był swego wychowanka. To wystarczało do zaniepokojenia umysłu, tak bardzo nieodpornego. Nieszczęśliwy Tartelett po raz pierwszy w życiu uczuł mimowolnie drżenie muszkułów nóg, które dzięki 35-letnim ćwiczeniom stały się tak elastyczne.

— A może — zaczął, usiłując znów przywołać na usta stereotypowy uśmiech tancerza, — może ja się nie nadaję...

— Więc się pan przerób! — przerwał William W. Kolderup tonem, wykluczającym dalszą dyskusję.

Niepodobna było się sprzeciwiać. Tartelettowi ani to na myśl nie przyszło. Bo i czemże on był w tym domu? Sprzętem, pakietem, który można było wysłać dokądkolwiek się podobało. Ale ten zamiar wysłania mocno go jednak niepokoił.

— A kiedy ma nastąpić wyjazd? — spytał, starając się znów zająć pozycję klasyczną.

— Za miesiąc.

— A na które burzliwe morze ma według postanowienia pana Williama W. Kolderupa wypłynąć okręt, wiozący mego ucznia i mnie?

— Przedewszystkiem na Ocean Spokojny.

— A na którym punkcie kuli ziemskiej stanę znów na stałym lądzie?

— Na Nowej Zelandji — odparł William W. Kolderup. — Zauważyłem, że mieszkańcy Nowej Zelandji nie umieją jeszcze należycie kręcić łokciami. Będziesz pan mógł ich kształcić.

W ten sposób profesor Tartelett został przeznaczony na towarzysza podróży Godfreya Morgana.

Gest przemysłowca dał mu do zrozumienia, że audjencja skończona. Cofnął się przeto mocno poruszony, a odejście i specjalny wdzięk, jaki przy podobnej sposobności zwykł był rozwijać, tym razem pozostawiały wiele do życzenia.

Istotnie, po raz pierwszy w życiu profesor Tartelett przez roztargnienie zapomniał o elementarnej zasadzie kunsztu i wyszedł, stawiając nogi równolegle, a nie odchylone od siebie.

ROZDZIAŁ V.

Rzecz była postanowiona. Przed wielką podróżą przez życie we dwoje, zwaną małżeństwem. Godfrey chciał odbyć podróż dokoła świata — co niekiedy bywa bardziej niebezpieczne. Mniemał jednak, że powróci zahartowany i wyrobiony, że wyjeżdżając młodzieńcem, powróci mężczyzną w każdym calu. Zobaczy coś, pozna, będzie miał pewną skalę porównawczą. I zaspokoi swą ciekawość. Wtedy nie będzie go już nęcić żadna nowość, a od spokojnego uregulowanego życia przy domowem ognisku żadna pokusa nie zdoła go już odciągnąć.

Jednem słowem Godfrey był niezmiernie szczęśliwy.

Fina, nie dając po sobie poznać dręczącej ją troski, zgodziła się na tę próbę.

Natomiast profesor Tartelett, który z przyzwyczajenia doskonale się trzymał na nogach, a przez najrozmaitsze sztuczki balansowania w tańcu zdobył elastyczność członków, utracił dotychczasową pewność postawy i napróżno usiłował ją odzyskać. Nawet na gładkiej posadzce swego pokoju chwiał się i zataczał, jakgdyby już był na pokładzie, lub w kajucie okrętu, kołyszącego się na wzburzonych falach.

William W. Kolderup od chwili postanowienia podróży, stał się małomowny, zwłaszcza wobec swego siostrzeńca. Zaciśnięte usta, oczy, nawpół ukryte pod powiekami, świadczyły, że jakaś myśl stale krąży po tej głowie, zajętej zazwyczaj jedynie wielkiemi spekulacjami handlowemi.

— Ach! Podróży ci się zachciewa — mruczał do siebie półgłosem. — Podróżować chce, zamiast się ożenić, zamiast pozostać w domu, zamiast być najszczęśliwszym człowiekiem! Dobrze, będziesz podróżował!

Odrazu zabrano się do przygotowań. William W. Kolderup posiadał dla swych celów handlowych całą flotę żaglowców i parowców. Postanowił przeto, że jeden z tych statków odda do użytku Godfreya Morgana, jakgdyby chodziło o jakiego księcia krwi, dla swej przyjemności jeżdżącego po świecie, na koszt ojca.

Stosownie do jego zlecenia, solidny parowiec „Marzenie“ zaczął się odrazu sposobić do podróży. Komendę miał nad nim objąć kapitan Turcotte, stary marynarz, który żeglował po wszystkich morzach. Dzielny, doświadczony żeglarz, oswiały w walce z tajfunami, tornadami i cyklonami, licząc pięćdziesiąt lat życia, od lat czterdziestu był na morzu. Zmaganie się z orkanem, było dla tego wilka morskiego dziecinną igraszką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przy świetle gromnicy.

(Zdarzenie prawdziwe).

Dnia tego, jak co roku w święto Matki Boskiej Gromnicznej, przyniosła Maciejowa z kościoła zapaloną gromnicę, ażeby na białym suficie chaty zrobić krzyż ze świętego ognia, który miał bronić mieszkańców od wszelakich złych przygód. Po „wykopceniu“ ciemnego krzyża, zagasiła gromnicę i postawiła na oknie tuż obok łóżka.

W chacie było gwarno i wesoło, gdyż prócz domowników znajdował się jeszcze Franek Kubuś, narzeczony najstarszej córki Maciejów, Małgosi, których ślub miał się odbyć za parę dni po święcie.

Szykowano się też na gwałt, ażeby nie zabrakło niczego na weselu i w tym celu Maciejowa wysilała swój babski rozum, ażeby nie skompromitować się przed sąsiadami i godnie się pokazać z pierwszem weselem. Wprawdzie nie było na składzie gotówki, ale i na to znalazła się rada, gdyż w oborze stało kilkoro bydła, a w chlewie sporo nierogacizny, postanowiono zatem dnia poprzedniego sprzedać parę wieprzów i jedną krowę, a pieniądze przeznaczone w części na wesele, a w części na pierwszy dorobek dla młodych, ukryła tymczasowo Maciejowa w łóżku.

Po gwarnie i wesoło spędzonym dniu zapadł ciemny zimowy wieczór. Franek po wspólnej wieczerzy u przyszłych teściów i po miłej pogawędce z Jagusią odszedł do swojej chaty, a domownicy, pogwarzywszy jeszcze chwilkę, o tem i owem, zaczęli się układać do snu. Maciejowa, ułożywszy dzieci i zagasiwszy światło, jęła odmawiać, jak zwykle, wieczorny pacierz. Ale gdy się tak modli o szczęśliwą noc dla wszystkich, aż tu słyszy nagłe dobijanie się do drzwi i ochrypły głos rozkazujący otworzyć. Zdrętwiała Maciejowa ze strachu, a przeżegnawszy się, zawołała na męża, który już chrapał, ażeby wstał co tchu, bo się ktoś dobija. Zerwał się Maciej, jak oparzony, poderwała się też z pościeli i Małgosia, a do drzwi dobijano się tymczasem coraz gwałtowniej i natarczywiej.

— A kto wy jesteśta i czego chceta? — zapytał wreszcie Maciej wylęknionym głosem.

— Otwieraj drzwi! — warknął groźny głos. — A nie, to was wszystkich pozarzynamy jak wieprzów.

— O Maryjko przenajświętsza ratuj! — zawołała cicho Małgosia, gdy tymczasem Maciej otwierał drzwi, które już trzeszczały pod naporem napastników.

Do izby wpadło trzech ludzi, z których jeden, zaświeciwszy zapałkę, wrzasnął: „Dawać lampę!" Ale nim kto z domowników zdążył podać lampę, nieznajomy, spostrzegłszy stojącą na oknie gromnicę, szybko ją zapalił.

— A teraz do roboty! — zawołał na stojących za nim towarzyszy.

— Gdzie są pieniądze za krowę i wieprze? — zapytał groźnie jeden ze stojących, zwracając się do Macieja.

— Nie wiem! szukajcie, nic nie wiem! — bełkotał zalękniony gospodarz, drżąc cały ze strachu.

— Przeszukać wszystkie kąty! — zawołał pierwszy, podchodząc do łóżka z zapaloną gromnicą.

Zaczęto więc przetrząsać poduszki i siennik, w którym znajdowały się istotnie ukryte pieniądze, co widząc Maciejowa westchnęła jeszcze raz z głębi duszy do Matki Boskiej i tak się modliła:

— O Matuchno ratuj nas i zaślep tych nicponi, co użyli twego światła do rabowania cudzej własności.

Ale jakby na przekór swej modlitwie usłyszała z przerażeniem Maciejowa, jak w sienniku coś brzęknęło, a trzej złodziejaszkowie ucieszeni prawdopodobnie zdobyczą, rzuciwszy na stół gromnicę, szybko wybiegli z chaty.

— A łotry! Już po naszych pieniądzach! — zawodziła Maciejowa.

Lecz w tej chwili z poza okna dał się słyszeć krzyk i wzajemne wymyślania sobie trzech napastników.

— Tyś wziął, oddaj złodzieju! — wołał jeden i silnem uderzeniem poczęstował towarzysza.

— Nie ja wziąłem, to on! — wołał tamten wśród przekleństw i oddawał razy jednemu i drugiemu.

— Ja trzymałem świecę, a wyśta wzięli pieniądze! — bronił się trzeci, na którego teraz posypały się razy dwóch towarzyszy.

Coraz głośniej słychać było łomotanie i jęki poza oknem, aż wreszcie wszystko ucichło.

Po długiej dopiero chwili zdecydowali się Maciejowie zapalić znów gromnicę i wyjść przed chatę. Ale tu przedstawił im się okropny widok: Na śniegu leżało ciało jednego z napastników, a z porozionej głowy sączyła się krew i zalewała mu oczy.

— Jezusie! — zawołała Maciejowa i przyklękła przy nieszczęsnym z zapaloną gromnicą, który przed chwilą przy tymże świetle chciał zagrabić cudzą własność, a teraz leżał i błędnemi oczyma wpatrywał się w żółte światło przyświecające mu na ostatnią drogę.

Po zwołaniu sąsiadów i policji, okazało się, że złodziei zaślepiło istotnie światło gromnicy, gdyż pieniądze w sienniku ocalały, i żaden ich nie zabrał, ale nie wierząc sobie wzajemnie, pobili aż do utraty tchu tego, który pierwszy użył do rabunku światła zapalonej gromnicy. *Kachna Ł. Łza.*

Jak stary kowal śmierć i djabła wykiwał.

(Dokończenie)

W piekle oczekiwano go z niecierpliwością. Dzień ten uważano w piekle za niebywały. Wszystko tam w dniu tym potoczyło się innym torem. Zapomniano nawet o duszach potępieńców, nie smażono ich w smole, ani nie palono pod niemi tak niemiłosiernie. Wszyscy djabli stali tylko w bramie, czekając powrotu swojego wysłannika. Ponieważ był to djabeł najsprytniejszy, dlatego nie przeczuwali, że ta jego eskapada na ziemię tak marnie, boleśnie i smutnie się dla niego skończy.

Wtem zawrzało w piekle, jak w ulu. Ale prędko się uciszyli. Djabeł nie niósł nic, a co gorsza jego mina, jego zmasakrowane ciało nie wróżyło nic dobrego. Przypuszczenia djabłów ziściły się, albowiem kiedy ich wysłannik przestąpił progi piekła, zobaczyli, że cała jego postać przedstawia godny politowania widok. Na całem ciele znać było dobrze ślady uderzeń ciężkiego kowalskiego młota. Struchleli djabli na ten widok, a skoro zdał im sprawę ze swojej wyprawy, oburzenie ich było bez granic, ale równocześnie opanował ich wszystkich paniczny strach przed człowiekiem, który tak poniżył majestat śmierci i który zadrwił z potęg piekielnych. Wzmocniono bramy piekielne, aby ten zuchwały kowal nie dostał się nigdy do piekła, bo wtedy los wszystkich djabłów byłby okropnie marny.

Kowal pomimo zwycięstwa nad śmiercią i djabłem przedstawiał widok godny pożałowania. Zgarbiony, smagany biczem starości prowadził żywot ciężki i bolesny. Pragnął śmierci, ale ona dobrze go znała, żeby z nim powtórnie zaczynać. Choćby jej do końca świata oczekiwał, nie doczekałby się. Widząc, że wszystkie oczekiwania na jakiś koniec są daremne, postanowił wyruszyć w daleką i nieznaną podróż w zaświaty, najpierw zaglądnąć do nieba, potem do czyśca, a następnie do piekła. Może djabli już o nim zapomnieli, może dadzą przytułek, może pozwolą ogrzać stare kości przy ogniu piekielnym. Wyruszył w zaświaty, rozpoczął wędrówkę bez końca.



Zakuci w błyszczącą zbroję rycerze zaczęli wychodzić.

Po ciężkiej, długiej i męczącej podróży stanął wreszcie przed złocistą bramą niebios. Tyle lat żył a czegoś cudniejszego i piękniejszego na ziemi nie widział. Zastukał nieśmiało w ową bramę. Zazgrzytały złociste klucze w zamku i w otwartej bramie ukazała się czcigodna postać niebieskiego klucznika. Ale tu sprawa była trudna. Pan Jezus, zobaczywszy przez uchyloną bramę postać starego kowala, zakazał go wpuszczać do nieba, ponieważ ten, żyjąc na

ziemi, nie życzył sobie być zbawionym. Teraz poznał kowal, że tym starcem, którego on na ziemi pielęgnował, był sam Pan Jezus, odziany w szaty żebracze. Kowal zaczął żałować gorzko jeszcze na ziemi popełnionej winy, ale było już zapóźno. Nie było co dłużej czekać. Poszedł kowal do czyśca, ale i tu go nie przyjęto. Nie mając innego wyjścia, poszedł kowal do piekła. Ale niestety został poznany. Djabli podparli bramę drągami i obserwowali każdy jego ruch, czy czasem gwałtem nie będzie się chciał dostać do piekła. Może byłby to zrobił, ale już nie miał siły. I tu stąd odszedł z niczem.

Wskutek tego nie pozostawało kowalowi nic innego jak znów powrócić na ziemię, gdzie miał dopiero nastąpić kres jego tułaczki, koniec jego przygód. Tułając się jeszcze jakiś czas po ziemi, znalazł się pewnego razu na ogromnej polanie, otoczonej zewsząd wysokiemi górami. Gdy tak rozglądał się po łące i po górach, zobaczył naraz nadlatującą z ogromnym hałasem i krzykiem gromadę kruków. Gdy one znalazły się nad ową polaną, góry otaczające ją otwarły się nagle i zaczęli z nich wychodzić rycerze zakuci od stóp do głów w błyszczącą zbroję. Stanąwszy w bojowym ordynku, stoczyli ze sobą krwawą walkę. Szum wichru, chrzęst zbroi, jęki rannych było tylko słychać. Kowal myślał, że koniec świata się zbliża. Wtem ukazała się ta sama gromada kruków i naraz wszystko ucichło. Rycerze wstąpili z powrotem do wnętrza skał i zapadli w sen. Poszedł z nimi i nasz kowal, aby jeszcze teraz na stare lata popróbować wojaczki. Zaklęci rycerze spali spokojnie, czekając ponownego przelotu kruków, aby znów powstać, stoczyć bój krwawy i znów zapaść w sen głęboki. Historja ta powtarza się od wieków i będzie się powtarzać do końca świata. A los owych śpiących rycerzy będzie dzielił bez końca i nasz przebiegły i chytry kowal.

Kawczak Franciszek.

Poradnik gospodarczy.

Hodowla ryb.

Jest taka dziedzina naszej wytwórczości, która może nietylko nie jest gorsza od zagranicznych, lecz częstokroć je przewyższa. Otóż nią jest rybactwo, które niewiele kto zna, albo interesuje się niem tylko ze strony amatorskiej, nie zaś jako jedną z gałęzi produkcyjnych.

W produkowaniu ryb krajowych, rozróżniać należy trzy działy, a mianowicie: rzeczny, stawowy i jeziorowy, które dają około 19 miljonów kilogramów ryb, co przedstawia wartość prawie 51 miljonów złotych. Z tego przypada na stawy 9 miljonów kilogramów, wartości 27 miljonów złotych, jeziora wydają około 7 miljonów kilogramów, wartości 7 miljonów złotych, rzeki dostarczają 2.800.000 kilogramów, wartości około 17 miljonów złotych. Najwięcej stosunkowo, bo połowę prawie mięsa rybiego i większą część wartości pieniężnej takowego, hodują stawy sztuczne, które w Polsce zajmują przestrzeń około 62.000 hektarów, wobec 250.000 hektarów jezior i 350.000 rzek. Jak widzimy, różnica w wydajności jest wielka, co ma nietylko swoje przyczyny naturalne, ale też pochodzi z braku ustawodawstwa rybackiego.

Dzięki długotrwałej, systematycznej pracy około hodowli ryb w naszych stwach, obecnie często w nauce i pomiędzy naszymi rybakami słyszymy o rasie polskiego karpia, który wyróżnia się szybkim wzrostem i dużą żernością. Pomimo to, ryb w kraju wytwarzamy zamało, gdyż przywóz z zagranicy ryb słodkowodnych jest ciągle znaczny. W 1929 roku odebraliśmy z zagranicy ryb świeżych przeszło 5 miljonów kilo, za sumę około 10 miljonów złotych. A przecież zadużo ryb nie zjadamy, bo gdy w szeregu państw europejskich spożywają ryb po 10—20 kilo na osobę rocznie, to w Polsce zaledwie 2—3 kilo, a jeżeli jeszcze weźniemy pod uwagę, że żydzi zjadają takowej około 60 procent, to można śmiało stwierdzić, że w odżywianiu naszej ludności, a szczególnie biedniejszej, ryby rzeczne i stawowe prawie żadnej roli nie odgrywają.

Cały szereg czytelników naszych, przeczytawszy tę wzmiankę o hodowli ryb, pomyśli sobie, że założyłby i u siebie nieduży stawik, gdyby miał warunki po temu, no i pieniądze. Otóż chcę przy tej okazji opowiedzieć, jak przypadkowo stałem się właścicielem stawu i własnych karpi.

Przy zakładaniu sadu na gruntach piaszczystych potrzebna mi była duża ilość gliny, którą miałem w wilgotnym końcu nieco wydłużonej mej ziemskiej posiadłości. Rozpocząłem więc ostrożnie wydobywanie gliny na przestrzeni około 100 łokci w kwadrat, ustawiając takową do wywozu tuż obok w stertki, po 30 kubików każda. Dół, został wykopany głębokości 3 łokci, a gdy zaczęła się pokazywać woda, zostawiłem dalszą robotę w spokoju i na wiosnę następnego roku w kwietniu wpuściłem 80 sztuk 3—4 calowych karpików i 5 raków do stawu pełniutkiego wody. Już nawet do stawu nie zaglądałem, a posyłałem tylko łubin mielony i kartofle gotowane, ale zato po upływie roku, w maju, o godzinie 6 rano złożyłem moim rybkom wizytę, ażeby się przekonać jak się zarybek chowa.

Proszę sobie wyobrazić miłą niespodziankę, bo po wierzchu stawu, w niezakłóconym spokoju pławiło się w słońcu około 20 karpi, pływając sznurami naokoło stawu. Na drugi dzień przyszedłem już z wędką i dzbankiem i w przeciągu 3-ch kwadransów złapałem 5 sztuk karpi, ale ani jeden do dzbanka nie wszedł, bo miały już wagi po pół kilo, a w wodzie wydawały się znacznie mniejszemi.

Karp później okazał się rybą mało wymagającą, bo ze względu na przestrzeń i chorobę nie mogłem go nawet podkarmiać, a pomimo to, w następnych latach pojedyncze sztuki dochodziły swobodnie do 2 kilo wagi.

Ale i raki bez żadnych zachodów również tak się rozpłodziły, że po upłwie dwóch lat, łapałem je na przynętę, w postaci nieświeżego mięsa, zarzuconą w kilku miejscach, po kilkadziesiąt sztuk w przeciągu dwóch godzin.

Największą wadą tej przypadkowej hodowli ryb, była duża przestrzeń dzieląca staw od miejsca zamieszkania, bo przeszło kilometr drogi. Tego nieomieszkali wyzyskać, dowiedziawszy się o jedynym stawie w okolicy — złodziejaszkowie i w nocy łapali karpie nawet sieciami. Pomimo tej spółki wykopanie tego stawu bardzo mi się opłaciło, bo oprócz gliny, ryba stała się u mnie częstym gościem na stole, a nawet niejednokrotnie parę sztuk, złapanych i przeniesionych do cementowego basenu z wodą, w ogrodzie, tuż koło domu, oczekiwało nieraz po 2—3 tygodni na swe przeznaczenie.

„Lech". *S.*

KRONIKA.

Huragan. Nad Drohobyczem i okolicą przeszedł silny huragan. Wichura zerwała dachy na kilku domach, przewody telefoniczne oraz uszkodziła dzwonnicę przy kościele rzymsko katolickim.

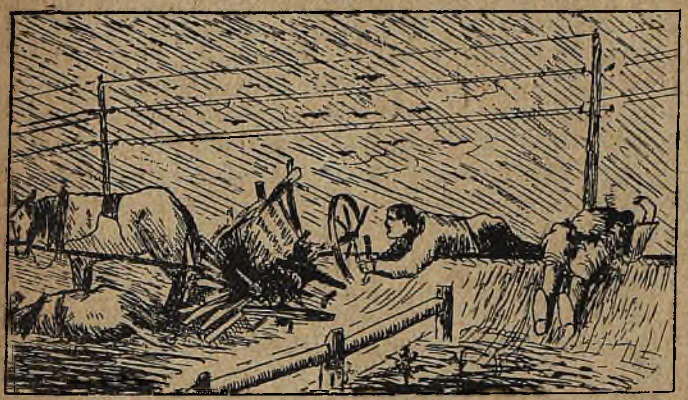
Wielki pożar w Pacykowie. W Pacykowie pod Stanisławowem wybuchł pożar na Strychu domu mieszkalnego Jana Chełminki, wskutek czego spłonął doszczętnie dom z inwentarzem. Następnie ogień z powodu wiatru przerzucił się na sąsiednie budynki Z fji Budyk i Teodora Budyka, które spłonęły wraz z inwentarzem. Pożar powstał wskutek wadliwej budowy komina w mieszkaniu Chełminki, przez który w czasie palenia w piecu przedostały się iskry na strych, gdzie złożona była słoma, która się zajęła. Szkody są bardzo wielkie. Poszkodowani byli ubezpieczeni.

Auto w płomieniach. Na szosie Stanisławów-Halicz stanęło onegdaj w płomieniach auto osobowe, stanowiące własność Jana Dresslera ze Stanisławowa a prowadzone przez szofera Wilhelma Sechtera. Spaliła się buda i tylne siedzenie a motor uległ częściowo uszkodzeniu. Na szczęście nie było w aucie pasażerów a szofer w porę wyskoczył z pojazdu. Ogień wywołał silnie rozgrzany z powodu uciążliwej drogi motor.

Włamanie do urzędu gminnego w Wołczyńcu. Nieznani na razie sprawcy włamali się do urzędu gminnego w Wołczyńcu koło Stanisławowa, gdzie po podważeniu drzwi drewnianej szafy skradli 1 800 zł na szkodę tamtejszego urzędu gminnego oraz 68 dolarów na szkodę pisarza gminnego Ilka Ślidnego z Wołczyńca. Policja wszczęła natychmiast energiczne dochodzenia i aresztowała silnie podejrzanego o dokonanie tego włamania 34-letniego Stanisława Pilarza ze Stanisławowa.

Tajemnicze morderstwo. Nieznany dotychczas sprawca zamordował Stefana Fidyka w Osławach Białych powiat Nadwórna. Morderstwo dokonane zostało wystrzałem z rewolweru w chwili, gdy Fidyk siedział w mieszkaniu. Strzał oddany został przez okno. Dotychczasowe dochodzenia wskazują, że morderstwa dokonano na tle zemsty osobistej. Dalsze dochodzenia w toku.

Tragiczna kawalerska jazda. W Lutosławicach pow. częstochowskiego dwaj włościanie, wracając z kościoła, na przejeździe kolejowym usiłowali „kawalerską jazdą“ wyminąć nadjeżdżający pociąg.



Niestety brawurowa jazda zakończyła się tragicznie, gdyż wóz wpadł pod lokomotywę a wraz z nim i obaj jadący, to jest Antoni Biedroń i Józef Kochańczyk. Pierwszy poniósł śmierć na miejscu, zaś Kochańczyk z uciętemi nogami wkrótce też życie zakończył. Został również zabity jeden koń, a wóz roztrzaskany.

Nadużycia na poczcie w Łodzi. W urzędzie pocztowym w Łodzi stwierdzono, że wiele listów pieniężnych i poleconych wartościowych nie doszło do rąk adresatów. Na skutek dochodzeń aresztowano Franciszka Sobczyńskiego, funkcjonarjusza urzędu, który już od dłuższego czasu dopuszczał się kradzieży wspomnianych przesyłek. Ogółem wyrządził on szkodę skarbowi państwa na sumę 50 000 złotych.

11 razy żonaty. Do rabinatu warszawskiego zgłosił się 60 letni Lajb Hildenberg i złożył niezwykłe zeznania. Przed 40 laty ożenił się on po raz pierwszy i miał pięcioro dzieci. Później wyjechał do Kijowa i ożenił się po raz drugi. Miał znowu kilkoro dzieci. Po kilku latach porzucił żonę i ożenił się w Płocku po raz trzeci. Ogółem Hildenberg, przenosząc się z miejsca na miejsce, zawarł 11 małżeństw, z których miał 46 dzieci. Małżeństwa, które zawierał, były katolickie, prawosławna i żydowskie. Skutkiem zeznań Hildenberga, ogłoszonych przez rabinat, zgłosiło się w rabinacie sześć kobiet, małżonek Hildenberga, które wszczęły starania o rozwód. Przy tej okazji przyszło między nimi do kłótni i do małej bójki.

Tajemnicze zajście. Niezwykle tragiczny a zarazem tajemniczy wypadek wydarzył się w Galewie, pow. koźmińskiego. W czasie powrotu młodzieży przysposobienia wojskowego z ćwiczeń padły dwa strzały z fuzji, raniąc w pierś i brzuch 19 letniego Ludwika Paryzka z Galewa, który zmarł. Jak później ujawniono, do gromady powracających ze śpiewem chłopaków strzelił 62-letni mieszkaniec wsi Galew, Walenty Bąk, którego aresztowano i odstawiono do więzienia sądowego w Koźminie. Twierdzi on, że krzyki i śpiewy powracających z ćwiczeń chłopaków zdenerwowały go do tego stopnia, że chwycił fuzję i strzelił na postrach, nie mając zamiaru zabicia czy też poranienia kogokolwiek.

Demonstracje w więzieniu. Z Grodna donoszą, że w więzieniu z powodu ostrzyżenia aresztowanym komunistom włosów ogłosili oni głodówkę, która trwała dwa dni. Onegdaj aresztowani urządzili awanturę, łamiąc urządzenie cel, tłukąc szyby, przyczem były wypadki pobicia służby więziennej. Szczegółów narazie brak.

Dzielny chłopiec. Do leśniczówki Mołodanka położonej w pobliżu Wizajn, usiłowali dostać się dwaj uzbrojeni bandyci. W mieszkaniu obecny był wówczas jedynie 14-letni syn leśniczego Władysław Szustowicz, który, nie tracąc przytomności umysłu, porwał za strzelbę i dał kilka strzałów przez okno do bandytów. Jeden z bandytów ugodzony w głowę padł zbroczony krwią, drugi zaś zbiegł do lasu. Zawiadomiona o napadzie policja wszczęła pościg za zbiegłym bandytą.

Niefortunna ucieczka więźnia. Z więzienia śledczego w Grodzisku usiłował zbiec niejaki Skwirczyński z Zakrzeska. Przez otwór, wybity w ścianie swojej celi na III piętrze, usiłował opuścić się na linie skręconej z bielizny. Podczas opuszczania się lina urwała się i więzień spadł ze znacznej wysokości, przyczem doznał licznych obrażeń wewnętrznych i złamania nogi. Stan jego jest ciężki.

Napad na kasjera kolejowego. W Lublinie nieznani sprawcy dokonali napadu na kasjera kolejowego Dobrowolskiego w chwili, gdy ten z pieniądzmi, powierzonymi jego pieczy, szedł wzdłuż toru kolejowego w stronę kasy głównej. Napastnicy strzelili do Dobrowolskiego, chybiając jednak, następnie zdołali skorzystać z okoliczności, gdy Dobrowolski, 60-letni, uciekając potknął się i upadł i odebrali mu teczkę zawierającą 5.231 zł.

Zaginięcie urzędnika skarbowego. W Mołodecznie zaginął w sposób zagadkowy urzędnik miejscowego urzędu skarbowego Józef Stecki.

Psie sadło jako lekarstwo. Przed sądem okręgowym w Poznaniu rozpoczął się sensacyjny proces przeciwko Michałowi Gersowi i Leokadji Szymczakowej, oskarżonym o handel tłuszczem z padliny końskiej i i psiej. Szymczakowa wydzierżawiła w roku 1926 na przedmieściu Poznania rakarnię i rozwinęła tam na wielką skalę handel tłuszczem psim, jako rzekomo skutecznym w wielu chorobach zwłaszcza płucnych. Popyt na jej wyroby, pomimo, że cena była wygórowana, gdyż funt tłuszczu kosztował 20 złotych, był wielki i doszło do tego, że zaczęło brakować psów, toteż Szymczakowa mieszała tłuszcz psi z tłuszczem z padliny końskiej. Psiego sadła Szymczakowa używała też do omasty pożywienia dla pracowników rakarni. Rozprawę narazie odroczono, celem wezwania nowych świadków. Że to jeszcze tyle głupich ludzi na świecie.

Dwadzieścia dwa lata w chlewie. Z Poznania donoszą, że w ostatnich dniach władze policyjne dokonały strasznego odkrycia w Meszkowie, pow. jarocińskiego. Oto w chlewie gospodarza Antoniego Kończaka znaleziono kobietę niemal zupełnie nagą, leżącą na barłogu, nieprawdopodobnie brudnym, tuż obok koryta trzody chlewnej. W chwili, gdy władze policyjne doszły do chlewa, kobieta nie okazała żadnego lęku, a na wezwanie, by wstała z barłogu, nie reagowała, ponieważ, jak się później okazało, nie mogła się zupełnie poruszać, jest ona jakby sparaliżowana. Ponieważ od długiego czasu pozostawała na barłogu w pozycji przykucniętej, przeto mięśnie jej nóg się skurczyły i nie może dziś zrobić ani jednego kroku. Porusza ona jedynie prawą ręką, którą przyjmuje pokarm. Nieszczęśliwą kobietę przewieziono natychmiast do szpitala. Wstępne śledztwo policyjne ustaliło, że jest to 42-letnia Katarzyna Pasiakówna, która w chlewie tym przebyła zgórą 22 lata. Powodem jej zamknięcia był anormalny stan umysłowy, uważany przez rodzinę za objaw opętania przez djabła. Jak opowiada jej siostra Kończakowa, nieszczęśliwa będąc na służbie w Poznaniu przed 26 laty, uwiedziona została przez rzekomego narzeczonego i od tego czasu poczęła skarżyć się na bóle głowy i zamroczenie. Z tego powodu zmieniała często miejsce służby i po pewnym czasie wróciła do domu w przekonaniu, że odpoczynek przywróci do równowagi jej naruszony stan zdrowia. Jednakże stan jej stale się pogarszał i liczni znachorzy, którzy ją badali, orzekli jednomyślnie, że jest ona opętana przez czarta. W przekonaniu tem utwierdziło rodzinę zachowanie się nieszczęśliwej; która pod żadnym pozorem nie chciała udać się do kościoła, gdzie rodzina modłami chciała z niej wypędzić rzekomego djabła. Nieszczęśliwa popadła w stan szału i wściekłości, co zmusiło rodzinę do zamknięcia jej w chlewie. Ówczesne władze niemieckie nie chciały zainteresować się umysłowo chorą. W chlewie tym przebyła nieszczęśliwa 22 lata i dopiero teraz wieść o tem rozniosła się po powiecie, powodując interwencję policji. Nie należy wątpić, że gdyby zaraz z początku leczono biedną dziewczynę, można ją było od strasznego losu uchronić.

Kobieta z witrjolem. Wypadek niezwykłej zemsty kobiecej zdarzył się w Poznaniu. Do mieszkania rodziny Pawlickich przybyła 20 letnia służąca Marja Marczak, która z Pawlickim miała jakieś rozrachunki finansowe. Pożyczył on od niej pod pozorem małżeństwa, mimo, że był już żonaty, 3 tysiące złotych. Marczakówna zażądała zwrotu pieniędzy. Gdy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, usiłowała oblać Pawlickiego kwasem siarczanym. Pawlicki uskoczył w bok, a kwas poparzył silnie obecną w mieszkaniu sąsiadkę, oraz żonę Pawlickiego i 9 letniego O. Czyżewskiego. Ofiary zemsty przewieziono w groźnym stanie do szpitala, a mścicielkę aresztowano.

Wódka i mróz przyczyną śmierci. Przy szosie Wapno Damasławek w powiecie żnińskim znaleziono w tych dniach zmarznięte zwłoki 44 letniego rolnika Józefa Łasińskiego z Srebrnej Góry w powiecie wągrowieckim. Denat krztycznego dnia wracał w stanie nietrzeźwym prawdopodobnie z Damasławka do domu. W czasie powrotu, jak wskazują na to ślady, upadł kilkakrotnie na ziemię, przyczem doznał silnych obrażeń głowy przez uderzenie o kamień. Wskutek upływu krwi oraz obniżenia temperatury ciała przy użyciu alkoholu Łaziński na mrozie zmarł tak tragiczną śmiercią, osierocając żonę i kilkoro dzieci.

Porwanie włościanina przez bolszewików. W nocy z dnia 20 na 21 stycznia b. r. na terytorjum Rzeczypospolitej polskiej do wsi Turkowszczyzna, położonej w powiecie mołodeckim, w odległości pół kilometra od granicy polsko sowieckiej, wtargnęła banda licząca 7 osób, porwała i uprowadziła ze sobą do bolszewji włościanina nazwiskiem Jana Szczepko. Włościanin ten zbiegł 15 listopada ubiegłego roku z sowietów do Polski przed represjami władz sowieckich w związku z uspołecznieniem gospodarstw. Szczepko przyprowadził wówczas ze sobą konia i zamieszkał w Turkowszczyźnie, korzystając z prawa azylu. Starosta mołodecki zwrócił się do komendanta najbliższego oddziału sowieckiej straży granicznej w Zasławiu z wezwaniem do wydelegowania swego przedstawiciela na miejsce wypadku celem wspólnego przeprowadzenia dochodzeń i wyświetlenia sprawy. Śledztwo w toku.

Skazanie kata na karę śmierci. W Kijowie skazany został na karę śmierci kat Bowdo, urzędujący za czasów carskich w Czernichowie.

Aresztowanie międzynarodowego oszusta. W Pradze aresztowano międzynarodowego oszusta, poszukiwanego przez policję szeregu państw, który podając się za pełnomocnika króla Hedżasu, prowadził pertraktacje w sprawie budowy koleji do Mekki i w tej roli wyłudził od kilku firm niemieckich kilkaset tysięcy marek. Jest to Arab, niejaki Fakri Osman.

Ukradł całą ulicę. Magistrat węgierskiego miasta Pest Erzebet wpadł na trop oryginalnej kradzieży. Mianowicie okazało się, że właściciele domów na jednej z ulic miasta wykradli z pod asfaltowej nawierzchni glinę dla użycia jej przy budowie nowych domów. W ten dość oryginalny sposób wykradziono ziemię na głębokości dwóch metrów.

Tragiczny wypadek na weselu. W miejscowości niemieckiej Gerhardsfelde wydarzył się na weselu bogatej jedynaczki miejscowego kupca tragiczny wypadek. Urzędnik pocztowy Renner, przyjaciel pana młodego przybył złożyć życzenia młodej parze. Panna młoda poprosiła go następnie do bufetu i własnoręcznie nalała mu kieliszek likieru. Zaledwie Renner wypróżnił kieliszek, padł martwy na ziemię. Okazało się, że w kieliszku zamiast likieru był karbel. Jak dostała się flaszka z karbolem między trunki, ustawione na bufecie weselnym, nikt nie umiał wytłomaczyć. Wypadek ten zrobił na pannie młodej wstrząsające wrażenie. Chciała rzucić się z okna na bruk, lecz na czas spostrzeżono, co uczynić zamierza i zdołano jej w tem przeszkodzić.

Rafinowane oszustwo ubezpieczeniowe zdarzyło się w Waldsachsen, obok Gotha, w Niemczech. Dla uzyskania sumy ubezpieczeniowej 24.000 marek niemieckich, mechanik Alfred Schad odrąbał sobie rękę. Pewnego dnia znaleziono Schada w stajni ciężko rannego. Według jego zeznań został on napadnięty przez złodziei, którzy w zaciekłej z nim walce odrąbali mu

rękę. Dochodzenia policyjne zdołały jednak w międzyczasie wyświetlić, iż zeznania jego nie są zgodne z prawdą i czynu tego dokonał sam Schad celem otrzymania przypadającej mu z tytułu tak ciężkiego uszkodzenia kwoty ubezpieczeniowej 24 000 marek. Przy rewizji w domu znaleziono zakrwawioną siekierę. Według orzeczenia lekarzy, ręka została odcięta uderzeniami ostrej siekiery. Dotąd nie zdołano wyjaśnić, czy Schad sam dokonał tego potwornego czynu, czy też kazał sobie odrąbać rękę komu innemu.

Nieboszczyk odczytujący swój testament. Gazety angielskie donoszą, że pewien fabrykant w Birmingham obstalował niedługo przed śmiercią dźwiękowy film ze swoim udziałem. W kilka tygodni potem przemysłowiec zmarł. Ciało jego spalono w krematorjum. Natychmiast po tej ceremonji wszystkich obecnych na niej krewnych zmarłego zaproszono do innego lokalu i zademonstrowano przed nimi film. Na ekranie ukazuje się zmarły, który zbliża się do widzów i zaprasza ich zająć miejsca. Następnie nieboszczyk zaczyna odczytywać swój testament:

— Teraz, gdy już zmarłem, pozwolę sobie powiedzieć parę słów prawdy..

Następuje wyliczenie wad i zalet każdego z obecnych.

— Nie będę was więcej nudził, drodzy siostrzeńcy i drogie siostrzenice! — kończy nieboszczyk swoje przemówienie. — Przypuszczam, iż zgodzicie się, że mój sposób sporządzenia testamentu jest dowcipniejszy od sposobu dawniejszego. A teraz w celu uniknięcia procesów sądowych, mój adwokat, jeżeli chcecie, przeczyta wam ten sam testament, który u niego pozostawiłem!"

Nieboszczyk kłania się i znika z ekranu.

Orzeł zwyciężył samolot. Podczas ćwiczeń lotniczych angielskiej eskadry samolotów wojskowych koło Sisalpur jeden z samolotów uległ niezwykłemu wypadkowi. Mianowicie na wysokości 800 stóp natknął się na szybującego w powietrzu orła, posiadającego skrzydła o rozpiętości 8 stóp Skrzydło samolotu zostało przez olbrzymiego ptaka złamane. Samolot spadł. Dwaj piloci ponieśli śmierć.

Stuletnia robotnica. Z okazji sporządzania wykazu w związku z ubezpieczeniem społecznem stwierdzono, że najstarszą robotnicą we Francji, a może nawet na świecie, jest pewna robotnica zajęta w pewnej drukarni w Paryżu, licząca 101 lat życia. W licznych wywiadach dziennikarskich robotnica ciesząca się jak najlepszem zdrowiem podaje, że całe życie swoje spędziła w Paryżu. Tryb jej życia niczem nie różnił się od życia prostej wieśniaczki. Nie jechała ona nigdy jeszcze pociągiem, autem, koleją podziemną, ani nawet tramwajem, twierdząc, że maszyny te istnieją tylko poto, aby zatruwały powietrze i przejeżdżały przechodniów.

Dwaj młodzi rywale. Przed kilku miesiącami w Lyonie zniknął bez śladu 17-letni uczeń gimnazjalny, Artur Lacier, chłopak bardzo utalentowany i przystojny. Rodzice, zrozpaczeni z tego powodu, poruszali niebo i ziemię, aby odnaleźć ukochanego syna, ale napróżno! Również poszukiwania policji przez dłuższy czas nie dawały żadnego rezultatu i dopiero w ostatnich dniach udało się ku niesłychanej konsternacji opinji publicznej w Lyonie stwierdzić, że nieszczęśliwy chłopak padł ofiarą morderstwa. Oto na policji zgłosił się „najserdeczniejszy" przyjaciel Laciera, jego rówieśnik, Henryk Chardonnier, również student, który ze łzami w oczach wyznał tajemnicę zniknięcia Artura. Oto obaj chłopcy zakochali się pierwszą młodzieńczą miłością w pewnej panience. Jak długo dziewczyna żadnego z nich nie wyróżniała, chłopcy żyli w przyjaźni, zwierzali się nawet sobie ze swoich cierpień. Ale po pewnym czasie panienka zaczęła w widoczny sposób okazywać sympatję Arturowi. Wówczas Henryk zapałał ku swemu koledze tak straszliwą nienawiścią, iż podczas pewnej przechadzki zamiejskiej zabił go, uderzywszy go ostrym kamieniem w skroń. Po dokonaniu tego czynu powrócił młody morderca z okolicy podmiejskiej do Lyonu, cichaczem wystarał się tam o łopatę i w nocy przy świetle księżyca, w okolicy zupełnie samotnej zagrzebał zwłoki w ziemi. Rzecz dziwna, że policja dopiero obecnie po kilku miesiącach i to dzięki przyznaniu się winowajcy wyjaśniła tę sprawę. Afera ta budzi w Lyonie zrozumiałą sensację,

Zmartwychwstały piekarz. U pewnego piekarza w Konstancji pracowało do niedawna czterech czeladników. Przed kilku dniami zdarzyło się, że jeden z nich nie przyszedł do pracy. Towarzysze, którzy dzielili z nim wspólnie izbę na stancji w domu piekarza, oświadczyli, że starali się go obudzić, lecz tamten ani się poruszył. Piekarz udał się do izby, by skarcić opieszałego czeladnika i sprowadzić go do roboty. Przekonał się jednak, że wszelkie próby obudzenia go są daremne. Młodzieniec leżał, jak nieżywy. Przywołano kolonję sanitarną z Konstancji i lekarza. Lekarz stwierdził, że czeladnik nie żyje. Piekarz udał się do stolarza, by zamówić trumnę, poczem zawiadomił krewnych młodzieńca o jego śmierci. Nazajutrz włożono ciało młodzieńca do trumny i przygotowano, co trzeba, do pogrzebu. Kiedy w dniu pogrzebu piekarz udać się chciał do izby, gdzie stała trumna, ujrzał ku swemu przerażeniu na schodach „nieboszczyka". Okazało się, że zmarły rzekomo czeladnik obudził się w trumnie z letargu, rozbił wieko i wybiegł na schody. Przekonany był o tem, że to jego koledzy zrobili sobie z nim ten żart niesmaczny i zamknęli go do trumny. Później dopiero, gdy zobaczył przygotowania do pogrzebu, dostał ataku nerwowego, tak bardzo wstrząsnęło nim do głębi przerażenie, że mogliby go byli żywcem pochować.

Skutki trzęsienia ziemi w Meksyku. Z Meksyku donoszą: Wedle napływających z prowincji wiadomości podczas ostatniego trzęsienia ziemi w południowym Meksyku trzy miasteczka zostały doszczętnie zniszczone Dotychczas znana liczba ofiar w tych miasteczkach wynosi 118 zabitych i ponad 200 rannych.

Latające żaby i skaczące węże. Świeżo dokonał odkrycia w dżunglach na Borneo przyrodnik szwedzki E. Mjöberg, który przebywał na Borneo cztery lata. Jego sprawozdanie opublikowane prawie we wszystkich naukowych pismach wzbudziło zdziwienie powszechne. Uczony odkrył nowy gatunek żaby, która potrafi latać w powietrzu. Odkrył ją w górach Doubit. Zwierzę to pilnie wspina się na drzewa a następnie z wierzchołka zlatuje w powietrzu na dół przy pomocy błony pletwowej, którą ma rozpiętą pomiędzy pazurami. Błona ta pozwala jej wznosić się na pewną wysokość w powietrze przy zlocie z góry i to we wszystkich kierunkach. Pomagają jej w tem płuca zdolne do rozedmy i nabrania wewnątrz dużego zapasu powietrza. Przyrodnik odkrył tu także latające jaszczurki. Pendent do latających żab stanowią skaczące węże, prześladujące zawzięcie żaby. Węże te potrafią skoczyć do wysokości siedmiu metrów i w skoku tym łowią żaby. Uczony stwierdził, że żaby podczas lotu łowią różne latające owady.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

W sprawie wyjazdu robotników na roboty zagranicę należy zwracać się listownie do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy w Krakowie, ul. Lubelska (znaczka na odpowiedź nie załączać).

RZECZY CIEKAWE.

Królowa herbaty.

W dokach londyńskich, stanowiących olbrzymią i trudną do wyobrażenia sobie składnicę najrozmaitszych towarów i surowców ze wszystkich końców świata, znajduje się wiele produktów, wymagających specjalnych znawców, którzyby potrafili określić ich gatunek i dobroć, a co zatem idzie, oznaczyć ich wartość.

Dzięki tej okoliczności, pewna zamieszkała w Londynie Angielka otrzymuje od jednej z wielkich firm handljących herbatą, poważną pensję, stanowiącą 1000 funtów szterlingów rocznie.

Ta herbaciana koneserka próbuje i klasyfikuje rozmaite gatunki herbaty, zamagazynowane w olbrzymich ilościach w składach doków londyńskich. Odróżnia więc ona z całą nieomylnością chińską herbatę od jawajskiej, sumatryjskiej czy cejlońskiej i rozmaitych innych rodzajów.

Już po kolorze liści wie ona, z jakiego gatunku herbatą ma do czynienia. Następnie nie zaparza ona próbowanej herbaty, lecz nalewa wrzącą wodę wprost na listki, wrzucone do filiżanki, a następnie kosztuje łyżeczką każdego płynu w minimalnej ilości, gdyż oddawna cierpi już na zatrucie teiną.

Pierwsza ta próba jest zaledwie początkiem, gdyż następnie trzeba rozsortować dany rodzaj na 10—20 gatunków wyższej lub niższej wartości. Jeżeli smak jest nieodpowiedni: za mocny czy za słaby, zbyt mdły czy cierpki, należy skomponować odpowiednią mieszankę. I w ten dopiero sposób wypuszczony zostaje na rynek typ herbaty, do którego przyzwyczajony jest konsument.

Jedynie panna Małgorzata Irving — tak nazywa się ta herbaciana kiperka — może dojść przyczyny, dlaczego dany rodzaj herbaty niema w handlu popytu i który z 10 radzai użytych do ogólnej mieszanki jest nieodpowiedni i powoduje jej zły smak.

Tajemnicza wieś ślepców.

Tiltepec, mała wioska w stanie Daxaca w Meksyku, leżąca na wysokości 1400 metrów nad poziomem morza jest w tej chwili przedmiotem szczególnej uwagi uczonych, ściślej mówiąc przyrodników i lekarzy.

Jakiż tego powód?

Wioska to bowiem uboga i bez szczególnych znamion historycznych lub naukowych. Żaden eksplorator nie przywiózł dotąd niczego godnego z tych okolic. A więc? Sławna jest z tego powodu, że wszyscy jej mieszkańcy albo rodzą się ślepi, albo najpóźniej w ciągu roku po urodzeniu tracą wzrok tak, że zamieszkują ją właściwie, tylko sami ślepcy! Ślepota nie ogranicza się jednak tylko do urodzonych tu lub stałych mieszkaców. Zapadają na nią także obcy ludzie, którzy ośmielą się tylko zamieszkać w Tiltepec czas dłuższy. Jest to więc dowodem niezbitym, że ta straszliwa klęska nie jest jakąś biologiczną chorobą przechodzącą z ojca na syna, ale, że zaraza ślepoty, jeżeli można to w ten sposób określić, leży niejako w powietrzu.

Ludność wsi Tiltepec wywiera odstraszające wprost wrażenie, gdy się ją obserwuje w życiu codziennem.

Z historji zwierciadła.

Od najdawniejszych czasów lustro było wrogiem i zarazem przyjacielem kobiet.

Lustro — najdawniejszy sprzęt, należący do przyborów i kokieterji kobiecej, znajdowało się już na pomnikach egipskich, jeszcze przed Mojżeszem. W starożytności robiono je z polerowanego metalu: mieszaniny cyny i miedzi, później wyrabiano je ze srebra. Kobiety hebrajskie posługiwały się lustrami ze spiżu. Kobiety greckie przeglądały się w złotych zwierciadłach. Najpiękniejsze lustra posiadały Rzymianki. Były to istne arcydzieła sztuki, za które płacono bajeczne sumy.

Zwierciadła, któremi posługiwały się Rzymianki z pierwszej ery chrześcijaństwa, były małe, okrągłe lub owalne, zaopatrzone rączką do trzymania. Miały jednak tę wielką niedogodność, że podlegały oksydacji, t. j. czerniały, trzeba więc było często je polerować. Pomimo to, rzadko kiedy wyraźnie i wiernie odbijały obraz. Lustra ówczesne składały się z płyty srebrnej, spoczywającej na złotej płycie, otoczonej drogocennemi kamieniami i każde była zaopatrzone w misternie rzeźbioną rączkę.

Lustra ze szkła weszły w użycie dopiero w dwunastym wieku; wyrabiano je w Wenecji. We Francji, podobno były już znane w 1250 roku.

Nowe te lustra noszące nazwę „szkła lustrzanego“, były pokrywane ołowianą lub cynową płytą; o wiele później pokrywano je mieszaniną cyny i merkurjuszu. Dopiero w piętnastym wieku pojawiły się prawdziwe lustra jakie posiadamy obecnie.

W XVII wieku inkrustowano lustra w wachlarze — w epoce tej zbytek był tak daleko posunięty, iż wywołał protest Kościoła. Poza temi przyborami kobiecej kokieterji, istniały jeszcze tak zwane lustra magiczne, którym przypisywano różne wpływy i własności.

Istnieją liczne zdania na temat lustra, jako przedmiotu kokieterji i zabobonów.

Najpopularniejszym przesądem niemal we wszystkich krajach jest przekonanie, iż stłuczone lustro przynosi nieszczęście, które grozi w ciągu siedmiu lat. Przesąd ten można wytłumaczyć wysoką ceną, którą kiedyś przedstawiało zwierciadło. Wówczas zbite lustro było dużą stratą materjalną.

Dzisiaj lustra należą do przedmiotów codziennego i powszechnego użytku, a są wyrabiane ze szkła pokrytego rtęcią.

Największe zwierzę na ziemi.

Największe zwierzę na ziemi żyło kilka, a może nawet kilkanaście miljonów lat przed naszą erą. — Uczeni zwą tego kolosa Diplodocus Carnegiei i zdołali z dość licznych wykopalisk jego kości skonstruować cały szkielet, a nawet wysnuć pewne wnioski o rozkładzie jego mięśni i sposobie życia. Diplodocus Carnegiei mierzył w całej swej okazałej długości 50 metrów. Dla porównania przypomnimy, że jest to mniej więcej wielkość średniego okrętu pasażerskiego, unoszącego kilkaset osób, zamieszkujących w jego kadłubie.

A teraz wyobraźmy sobie kolosa, prawdziwą górę mięsa poruszającą się na czterech nogach i tratującą przy każdej przechadzce całe lasy! Jeśliby w owej odległej epoce historji ziemi żył już nasz praojciec homo primigenius, niezbyt byłby uradowany, —

gdyby w pobliżu jego siedlisk zjawiły się diplodocy i niezdarnem ustawieniem nóg groziłyby nagłą zagładą jemu i jego rodzinie.

Mimo potwornych swych kształtów Diplodocus Carnegiei odznaczał się bardzo pokojowym charakterem, nie był drapieżcem, gdyż żywił się wyłącznie roślinami, któremi napełniał olbrzymi swój, wielkości dużego pokoju żołądek. Bardzo lubił zanurzać się w wodzie jezior i rzek, by chłodzić swe rozpalone cielsko; niestety ta właśnie przyjemność bywała najczęstszym powodem jego śmierci. Zdarzało się bowiem, że ziemia bagien usuwała się pod stopami tego olbrzyma, a wtedy całe potworne jego cielsko pogrążało się na wieki w mule moczaru.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Hornik** w W.: Ażeby odpowiedzieć, czy powieść będziemy drukowali, czy nie, i na jakich warunkach, musielibyśmy mieć w rękach rękopis całej powieści. A tymczasem jeszcze Pan nie napisał jej, a już żąda Pan od nas jakiegoś postanowienia. Taksamo i co do powieści p. t. „Przeklęte złoto" moglibyśmy coś odpowiedzieć, poznawszy całość tej powieści, a my nie znamy nawet jej początku. — **Jan Stefaniszyn** w K.: Z nadesłanych nam dwóch utworów przeczytaliśmy jeden, a mianowicie „Wynagrodzona krzywda". Treść opowiadania zajmująca, ale brak w nim formy literackiej. W każdym utworze trzeba uwydatnić odstępy, rozmowy rozpoczynać od wiersza, dawać interpunkcje w właściwem miejscu itp. W Pańskiej pracy trzebaby to wszystko uzupełnić, nam jednak Pan nie pozostawił miejsca, pisząc zbitem pismem po dwóch stronach papieru. Chcąc drukować, trzebaby całe opowiadanie przepisać, a na to nie mamy czasu. — **Józef Foryś** w P.: „Legenda o Matce Boskiej Gromnicznej" zupełnie dobra; przyszła jednak o dwa dni zapóźno. Zachowamy ją do następnego roku. W wierszach jeszcze forma nieopanowana, choć znać w nich przebłyski talentu. Z wierszyka do Maciusia prawdopodobnie skorzystamy. — **Jan Duśko** w S.: Drażliwość nieuzasadniona: jest to przyjęta w niektórych okolicach nazwa chłopska, którym każdy posługiwać się może. Gdzieindziej nazywają go potyrajło. — **Władysław Fijałkowski** w C.: Z nadesłanej nam humoreski w miarę miejsca skorzystamy. — **August Wasylecki** w T.: W „Pożegnaniu" pomysł był dobry, ale wykonanie nie dopisało. Nie można rymować słów: „woła-zdrowa". — **Józef Górecki** w K.: Rebusy dobrze ułożone, możliwe, że z nich skorzystamy. — **Stanisław Jucha:** „Czy wróci?" stylistycznie dobrze napisane, ale zbyt to mały epizodzik, aby go drukować. — **Michał Nasielski** w N.: Pszczoły najlepiej kupować w kwietniu, a nawet w maju; teraz jeszcze zawczasu, gdyż przeglądnąć ich nie można, a niewiadomo, co się w ulu znajduje. Jeżeli już tak bardzo pragnie mieć je Pan u siebie, to można zrobić przegląd w ładny, marcowy dzień. — **Jan Wierzchołek** w T.: „Rolę" wysyłamy zawsze we czwartki, a gdy wypada we czwartek święto, to wysyłamy już we środę, aby na czas doszła. Za miłe słowa uznania dla „Roli" dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy Pana. — **J. G.** w J.: Apteka ta istnieje jeszcze. — **Marja Wawrzykówna** w P.: Numera od N. Roku z czekiem pod wskazany adres wysłaliśmy; dziękujemy i polecamy się nadal. — **Katarzyna Bobal** w S.: Nadając czekiem nic się nie opłaca chociażby się przesyłało tysiące złotych. A gdzie Pani nadawała prenumeratę, czy w Siedlcach? Może ktoś Pani wypełnił czek i za to zażądał 10 groszy? Za pozdrowienia i pochwały dla „Roli" bardzo dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy Panią. — **Izydor Kubek** w G.: Związek Młodz. Przem. i Rękodzielniczej nadesłał nam 19 zł. 20 gr. — **Józef Mieczysław Matla** w W.: Niech Pan się zwróci listownie do P. Kom. Uzupełnień w Krakowie, załączając znaczek na odpowiedź, a poinformują Pana, ile lat trzeba mieć i kiedy podanie do tejże Komendy wnieść. Nadmienić, że chce Pan wstąpić do marynarki jako ochotnik. — **Bierski Rudolf** w P.: Takiej gazety niema. Adres poprawiony. — **Józef Świstek** w W.: Dolar 5 października 1922 r. kosztował 9.000 marek, zatem za 350 tysięcy marek należałoby się dzisiaj około 360 złotych. — **Ignacy Biegacz** w D.: Adres: Paszkówka, poczta Wielkie Drogi.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

			■				Spółgłoska.
		☆	■	☆			Zwierzę domowe.
	☆	☆	■	☆	☆		Ptak.
	☆	☆	■	☆	☆		Pubar,
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Przyrząd murarski.
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Dom Boga.
	☆	☆	■	☆	☆		Imię męskie.
	☆	☆	■	☆	☆		Nazwa choroby.
	☆	☆	■	☆	☆		Płótno.
	☆	☆	■	☆	☆		Stara kobieta
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Ogrodzenie
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Zarzutka.
	☆	☆	■	☆	☆		Państwo w Europie.
	☆	☆	■	☆	☆		Suknia.
		☆	■	☆			Bryła lodu.
			■				Samogłoska.

Litery środkowego rzędu czytane z góry na dół, dadzą nam dwa nazwiska współpracowników „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R).

I.

Moja narzeczona ma pierwsze pół drugie,
Bardzo ładne, złociste, puszyste i długie.
Pół pierwsze i drugie trochę mnie dziś boli
Nie mogę więc czytać ukochanej „Roli".
Trzeci czwarty pół pierwszy w powietrzu [szybuje,
Niekiedy na kwiateczku sobie przysiaduje.
Trzecie czwarte pół piąte ozdób zbiór o- [znacza,
Na różnych malowidłach. Kasiunia rozpacza
Bo trzeci pół pierwszy zniszczył jej kożu- [szek nowy,
Który jej Maciuś kupił; był więc pamiąt- [kowy;
Piątej czwartej kupił sobie Maciuś wczo- [raj w mieście,
Pod nową kurtkę, na którą zdobył się [nareszcie.
Pół pierwszego pół piąte pół czwarte do tego,
Jest liczba nam nieznana Maćka kochanego.
Trzecie piąte człowieka klejnot wiele warty;
Nazwę zwierząt domowych da nam drugi [czwarty.
Drugie piąte z żelaza człowiek różne rzeczy,
Zaś całość to maszyna, nikt temu nie przeczy.

II.
(Ułożył Andrzej Zakielarz z R.).

Pierwsze trzecie plamy znane,
Na twarzy ludzkiej spotykane,
Na głowach zwierząt znów drugie trzecie,
Całość napewno ze smakiem jecie.

3. Łamigłówka do uzupełnienia.

(Ułożył Kawczak Fr. z O)

P	A				
		A			
		P	A		
			P	A	
				P	A

W puste kratki rządków poziomych wpisać litery, aby utworzyły pięć wyrazów o podanem poniżej znaczeniu:
1] Uroczystość wojskowa, 2) Przyrząd fotograficzny. 3) Walka siłaczy. 4) Miasto w Estonji. 5) Część świata.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 lutego br.

Znaczenie zagadek z Nru 3 „Roli": 1. Rebus: „Dobry przykład cenić wysoko należy". 2. Szarady: I. Kołomyja. II. Kotlina. III. Atlas. IV. Fasola. 3. Drobna szarada: Żarna. 4. Bilety wizytowe: I. Profesor gimnazjalny. II. Stolarz fabryczny i meblowy.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Józef Górecki z K., Aleksander Kadłubowski z D., Zygmunt Bauer z Ł., Józef Karetta z S., Anna Wójcikówna z K., Stanisław Pawłasek z F., Jan Miazga z W., Marjan Przychocki z W., Karol Malinowski z G., Jan Stypa z U., Władysław Gąsienica z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Stypa z U. i Jan Miazga z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Do weterynarza.

— Gdzie prowadzicie, Walenty, tego konia?
— Do weterynarza.
— A cóż mu brakuje?
— Nic, jest całkiem zdrów.
— To pocóż prowadzicie go do weterynarza?
— Bo to jego koń.

W szkole.

Nauczyciel: Licz, Jasiu od siódemki w górę.
Uczeń: Siódemka, ósemka, dziewiątka, dziesiątka, chłopak, dama, król i as.

Mądry Kuba.

— Po czem można starą kurę odróżnić od młodej — pyta Bartek Kuby.
— Po zębach — Bartek odpowiada.
— Jakżeż po zębach, kiedy kury zębów nie mają.
— Kury nie mają, ale ja mam, więc jak ugryzę to wiem, która kura stara a która młoda.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 27 stycznia b. r.

Pszenica	22·75—23·25	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto	18·00—18·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	20·50—21·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	20·00—20·50		
Fasola biała	42·00—45·00	Mąka żytnia	33·00—33·50
Groch zwyk.	27·00—32·00	Mąka pszen.	47·00—48·50
Siano słodk.	11·50—12·20	Otręby pszen.	16·00—16·50
Łubin żółty	27·50—28·50	Otręby żytnie	14·50—15·00
Koniczpastew.	13·00—14·00	Mąka czerw.	18·00—18·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 27 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·70 do 1·15 zł.	Jałownik	od 0·75 do 1·15 zł.
Woły	od 0·89 do 1·16 zł.	Cielęta	od 1·06 do 1·62 zł.
Krowy	od 0·50 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	0·90 do 1·30 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·29 do 1.70

Wszystkich PP. Prenumeratorów i Czytelników prosimy o jednanie „Roli“ nowych prenumeratorów.



Nowy Wynalazek XX. wieku!

Zegarek kryty „ANKIER" ze złota

amerykańskiego z trzema kopertami **tylko za zł. 11.—**

zam. zł. 60.— nic nie różniący się od prawdziwego złota 14 kar. Wysyłamy na listowne zamówienie zegarek praktyczny, modny, ochraniający od kurzu, jak i od rozbicia się szkła, płaski wyregulowany do minuty „Ankier" z gwarancją 15-letnią. 2 sztuki zł. 21.50. Lepszego gatunku 14, 16, 18, 24, 30, 35 zł. — Te same odkryte 6, 8, 13.50, 18, 22, 33, 45. Zegarek męski lub damski na rękę 11, 13, 15, 16, 23 zł. Budziki stołowe 10, 12, 14. Dewizki z amer. złota 1.50, 2, 3.50, 5, 8. — Za koszta przesyłki płaci kupujący. Reklamowy zegarek niklowy zł. 5, 6, 7.10.

Adresować: Do znanej firmy
„KOMERCJA", Warszawa, ul. Dzielna 45. Oddział 3.
Otrzymujemy moc listów dziękczynnych.

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ

Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.

Praktyczne wyjaśnienia listowne. (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

„Nadwiślanin"

najpoczytniejszy dziennik na Pomorzu.

„Nadwiślanin" ujmuje wyczerpująco sprawy bieżące Pomorza i jest najlepszem źródłem aktualno-informacyjnem ziemi pomorskiej.

Prenumerata z przesyłką pocztową miesięcznie zł. 2·39.

Zamówienia należy kierować pod adresem:

„Nadwiślanin"
Chełmno-Pomorze.

Okładki na „Rolę" **na r. 1930 są gotowe po nadesłaniu 2·20 zł. wysyłamy.** Są też okładki 1927, 1928 i 29.

Kalendarze ścienne „Roli" do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 50 groszy. Można przesyłać znaczkami poczt. w liście.



Najtaniej w Krakowie!

Grodzka 25

PIERŚCIONKI

zaręczynowe i ślubne, zegary, zegarki oraz wszelkie wyroby jubilerskie złote i srebrne poleca **najtaniej** od 60 lat istniejący Magazyn jubilerski

EMIL GOLDWASSER
Kraków, Grodzka 25.

WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce wynosi wraz z przesyłką Zł. 3.50

Do nabycia w Administracji „Roli".

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.